



Biblioteka tanich książeczek dla ludu i młodzieży. Tom XV.

212200

# Kochaj swój obrządek!

Obrazek z życia ludu we wschodniej Galicji.

Napisał Jnl. Ant. Łukasziewicz

i

## Krzyżacy i ich następcy.

Napisał Franciszek Kozdraś.



Cieszyn, Nakładem Edwarda Feitzingera.

Nakładem Edwarda Feitzlgera w Cieszynie (Szląsk austr.

wyszły i są do nabycia  
następujące pięknie drukow. i ilustracyami oz.

„Biblioteka tanich książeczek dla ludu i młotulaczy .

Cena każdego dziełka tylko 20 ct. = 35 Pf., pod opaską 22 ct

Przy poprzednim nadesłaniu należytości najmniej za 10, lub za wszystkie  
tomiki razem, nastąpi przesyłka franko.

Tom 1. *Abelino, straszny bandyta*. Powieść z dziejów  
Wenecyi.

Tom 2. *Córka sybirskiego wygnańca*. Powieść z nie-  
dalekiej przeszłości.

Tom 3. *Jadwiga, oblubienica bandyty*. Powieść  
osnuta na tle dramatu Knera.

Tom 4. *Jan Okpiświat* (zwany Sowizdrzałem), słynny  
swego czasu trefniś; jego figle i awantury. Powieść komica-  
ku rozweseleniu czytelników.

Tom 5. *Krzysztof Kolumb, czyli odkrycie Ameryki*  
Opowiadanie dla ludu.

Tom 6. *Losy Genowefy*. Ciekawa i wzruszająca  
dla dojrzałej młodzieży i dla wszystkich, osobliwie  
śliwych i zasmuconych jako źródło pociechy i  
naśladowania.

Tom 7. *Młynarz i jego dziecko, czyli wędrów-  
ka w nocy Bożego narodzenia*.

Tom 8. *Przygody Robinzона Kruzoa na  
i na lądzie*. Bardzo ciekawa i pouczająca histo-  
ria dla młodzieży i dorosłych.

Tom 9. *Piękna Meluzyna*. Cudowna historia  
morskiej i jej walecznym potomstwem.

Tom 10. *...*

Tom 11.

Tom 12.

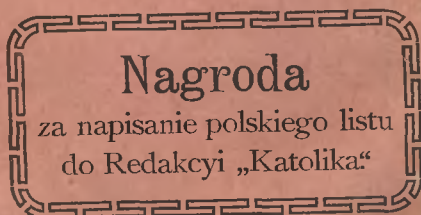
Tom 13.

Tom 14.

Tom 15.

Tom 16.

Tom 17.



# Kochaj swój obrządek!

Obrazek z życia ludu we wschodniej Galicji.

Napisał

Jul. Ant. Łukaszkievicz.



CIESZYN.

Nakładem Edwarda Feitzingera.

5516/54

SL7c

212200

I

St. Wallis  
Swigloclowice, Roma 4

6.XI.54

[6-J]✓



Po szerokiej, podolskiej drodze, na której kilka wyjeżdżonych kolei o rozmaitym guście woźnic świadczyło, toczył się powoli lichy chłopski wózek, przez dwa nędzne, w szle ubrane konie ciągniony, wioząc księdza polskiego i organistę z miasteczka do pobliskiej wioski na pogrzeb. Od czasu do czasu zapytał woźnicę z ruska coś or-organista, lecz chłopiek krótko odpowiedziawszy »tak« lub »ne znaju« zamilkł, poprawił się na słomianem, weretą różnofarbną pokrytem siedzeniu i nie chciał prowadzić rozmowy.

Ksiądz wikary, siedząc równie niewygodnie, jak jego towarzysze, na drugim, skromnem siedzeniu, wodził wzrokiem po dalekich, falistych i szerokich łąkach, ginących aż gdzieś hen daleko we mgle sinej nieba. Po raz setny może, rozglądając się po tych pięknych podolskich okolicach, zadawał sobie pytanie, czemu ta ziemia choć tak bardzo żyzna i urodzajna, tak smętne i tęskne robi na człowieku wrażenie? Czemu to słońce jesienne, jeszcze ciepłe i jasne, zda się także marzyć i dumkę dumać w obłokach? Czemu ten wiatr, co od południowego wschodu pociąga, tak żalosną wydzwania piosenkę? Jednem słowem, skoro tu żyć tak łatwo i dobrze, czemu nie wesóło?

Ha, może przyroda smuci się dla tego, że dwa bratnie, słowiańskie żyją tu narody, ale nie żyją w szczerej ze sobą zgodzie.

Podole jest wysoczyzną bez gór, wichrowatą i falistą jak wzburzone morze, tylko że jego fale olbrzymie i więcej łagodne. Ziemia tu czarna i nadzwyczaj urodzajna, a zamieszkała od wieków przez Rusinów, przed 500 laty przyłączoną została do Polski. Dużo ona krwi ludzkiej kosztowała, gdyż ciągle napadali ją Tatarzy, Turcy, Wołochy i odpierani bywali dzielnym ramieniem Polaków. Dla lepszej obrony stawiano po miastach obronne zamki, jak w Kamieńcu, Zbarażu, Trembowli, Czerwonogrodzie, Skale itd.

Ponieważ ziemi było tu dużo, a ludności mało, przychodzili w te strony Polacy z piaszczystego Mazowsza, osiadali po wsiach i miastach i budowali dla siebie kościoły, gdyż Rusini wyznawali religią schizmatyczną wedle obrządku greckiego. Polacy jakkolwiek panowali nad tym krajem, nie znęcali się jednak na ludem, lecz uważając go za bratni zostawili mu wolność, język i religię. Dopiero gdy w 16 wieku, t. j. przed 300 laty, pojednali się Rusini z katolickim kościołem i papieżem i przyjęli Unię — od tego czasu poczęli i Polacy chodzić na nabożeństwo do ruskich cerkwi, gdy im do kościoła, który tylko po miastach bywał, było za daleko. Ztąd poszło, że Polacy po wsiach, zaniedbując swój kościół i z Rusinami zawierając małżeństwa, ztratili zwolna swą polską mowę, a mówili i mówią do dziś dnia po rusku; wielu z nich przeszło na obrządek grecki, dobrowolnie lub podstępem zagrabienni zostali przez niedobrych ruskich księży.

Większa część Podola należy teraz do Galicyi, a że Moskale chcieliby go odebrać Austrii, więc od r. 1848 zaczęli wysyłać tu swych agentów, aby ci rublami nakłaniali lud do schizmy i przyjaźni

z Rosją, a do nienawiści Lachów. Od tego też czasu, gdzie się znaleźli źli sprzedajni Rusini, rozpoczęły się niezgody i kłótnie między Polakami i Rusinami — to ciche, to otwarte, to w gminnych radach i miejskich magistratach, to w sejmie lwowskim lub parlamencie w Wiedniu, a nawet i w cerkwi, gdzie nieraz zakazywano Rusinom chodzić do kościołów, wyśmiewano koronki, różańce, szkaplerze, nabożeństwo do Serca Pana Jezusa itp.

Gdzie jednak ludzie są dobrzy, tam panuje przykładowa zgoda. Wielu nawet z obałamuczonych, poczynają pojmować, że kłótnie, niezgoda, wyrzekania i skargi na Polaków na nic się zdadzą, że skoro razem na jednym mieszkamy zagonie, razem w zgodzie, pokoju pracować powinniśmy. Daj Boże, aby wnet już dobrze było. Tych kilka słów podałem tu jednak dla objaśnienia tych czasów, w których się powieść niniejsza odbywa.

Dumania ks. wikarego przerwały się, gdy wózek wtoczył się do wioski, w jarze nad małą położoną rzeczulką. Minawszy kilka domów z chrustu, słomy i gliny ulepionych, stanęli przed nędzną chatą, pochyloną i obdartą, która nawet nie miała w około płotu ze słomy, jak to powszechnem tu zwyczajem.

Przed chatą, o ścianę oparta stała biała trumna, domowiną na Rusi zwana i mała ludzi gromadka. Rozstąpili się kiedy kapłan do wnętrza wchodził, zapalili żółte, z własnego wosku robione świece; po odbytych modlitwach złożyli ciało w trumnie, przybili wieko, białem nakryli płótnem, kładąc na wierzchu bochenek chleba — i w poważnem milczeniu ruszyli ku cmentarzowi.

Zwyczajem jest na Rusi, że krewni idąc za trumną płaczą i zawodzą w głos, wyliczając cnoty zmarłego i swe nieszczęście, w jakie ich śmierć ukochanej osoby pograżyła. Teraz za trumną nie zawodził nikt, nie było bliskich krewnych, nie było spadkobierców.

Zmarła Wysocka wdową była po tkaczu, który z Mazurów tu na Podole zamiast do Ameryki przywędrował, osiadł we wsi Słobódce, ożenił się i spokojnie pracował. Póki Wysocki żył, nie źle to było; było dużo roboty i grosza dosyć, kupił nawet chałupę i ogrodu kawał — ale po jego śmierci wdowa z dwojgiem dzieci tylko ze zarobku utrzymywać się musiała. Wkrótce z wiosną zachorowały dzieci, więc Wysocka zaciągnęła dług na chatę u arendarza żyda. Dług rósł, praca nie wystarczała do wyżywienia się, biedna wdowa martwiła się tem wiele, podupadała widocznie na zdrowiu i przed kilku dniami zaziębiwszy się przy robocie, dostała zapalenia płuc i umarła.

Jedynym, dalekim krewnym Wysockiej był Hsekorko Szostak, diak cerkiewny w Słobódce, jemu więc z prawa przypadało opiekuństwo nad sierotami: 12-letnim Staszkiem i 10-letnią Zośką. Że jednak żyd wytoczył o swój dług proces i chałupę miano na licytacji sprzedać, martwił się mocno, że zadarmo sieroty żyć będzie musiał. Medytując nad tem, gdzieby to wnet je oddać na służbę, szedł zafrasowany za trumną, bolejąc nie nad śmiercią swą krewną, lecz nad nieszczęściem, jakie spadło na niego z powodu tej śmierci.

Po skończonym pogrzebie, odprowadzał Hrehorko księdza wikarego do czekającej przed cmentarzem fury.

— A co Grzegorz — mówił ksiądz — szkoda Wysockiej, dobra to była, pocziwa kobieta.

— Ta, szkoda, proszę Jegomości, bo to zostało dwoje sierót, a Bóg wie, kto się tem zaopiekuje.

— Przecież opiekowałeś się niemi dotąd, to i nadal nie pozwolisz, żeby dzieci na marne zeszły — przemawiał do dumy jego ksiądz, choć wiedział, że wdowa żadnej od niego opieki za życia nie miała.

— Ej Jegomość! póki matka żyła, to i nie było kłopotu, ale teraz każdemu chleba dać, to za ciężko na chrystyanina.

— Cóż więc myślisz zrobić z sierotami?

— Ha, trzeba to gdzie rozdać między ludzi. Sąsiedzi Klimkowie wzięliby z jedno do siebie ale to biedaki. Upatrzyłem ja na drugiej wsi bogaczów, tam będzie im o wiele lepiej.

Opiekun spodziewał się, że będzie jemu lepiej a nie sierotom, otrzymywałby przecież jakąś zapłatę za robotę dzieci.

Przyszli do fury, na której się ksiądz usadowił, gdy w téj chwili nadeszła i gromadka ludzi z żoną Hrehorka, prowadząc obok siebie sieroty: Staszka i Zośkę. Stach smukłym był chłopakiem, o przyjemnej, śniadój twarzy. Duże, załzawione oczy tak jakoś mile i pocziwie patrzyły, że uderzony tem ksiądz rzekł:

— No, przecież tak pocziwego chłopca nie wypędzisz z chałupy Hrehorku?!

— Kiedy bieda, Jegomość — odrzekł diak z uporem.

— Więc naprawdę chcesz dzieci rozpędzić pomiędzy ludzi, ty, co z cerkwi więcej masz chleba, niż gospodarz z roli?

— Kiedy tak i ludzie radzili, — zawstydzony trochę odpowiedział opiekun.

— Jeżeli tak, to ja biorę do siebie chłopca. Ten, co mi dotąd usługiwał, poszedł do terminu, nie ma mi kto teraz posłużyć, czy zgoda?

— Zgoda, proszę Jegomości, zgoda — rzekł ucieszony diak, całując księdza w rękę.

— Staszku, siadaj na furę, jedziesz ze mną — rzekł ks. wikary do chłopca, który dotąd słuchając rozmowy, patrzył bezmyślnie to na księdza, to na opiekuna, nie wiedząc dobrze o co chodzi.

Kazali mu, więc wlaź i usadowił się na furze. Hrehorko tymczasem dobierał słów rozmaitych, aby Jegomości za tę niespodzianą podziękować pomoc.

— Ja wziąłem chłopca — rzekł ksiądz — ale pamiętaj, abyś Zośki nie wypędzał z domu. Takiego dziecka nikt na służbę nie weźmie, a nie chciałbyś jako krewny, aby zeszła na dziady za młodu.

Diak przyrzekł uczynić to i uradowany poszedł z żoną i dziewczyną do domu, podczas gdy Stach jechał do miasta.

Wśród drogi, kiedy ks. wikary ochłonał nieco z oburzenia, którego powodem był nietościwy upór diaka, rozważał na zimno swój postępek.

— Ej, może zapędziłem się za daleko, — mówił do siebie. — Wziąłem na swe barki obowiązek, ale kto wie, czy mu podolam. Prawda, że mam duży przedpokój, gdzie chłopca umieszczę, ubrać go potrafię, ale co mu dam jeść? Gdyby i ks. proboszcz przyjął go do roboty, miałby zapewniony wikt. A nuż się pogniewa, że się go wpierw nie poradziłem? Ot, niepotrzebnie wpako-

wałem się w kłopot, chcąc wyratować chłopaka z rąk diaka, który i zacięłym jest Rusinem i złym człowiekiem.

Powoli nabrał otuchy i pomyślał, że Bóg do dobrego uczynku jakoś dopomoże.

Przyjechawszy do domu, udał się zaraz do ks. proboszcza i uwiadomił go o przywiezieniu ze sobą Staszka.

Proboszcz, pomyślawszy chwilę odpowiedział:

— Ha, może i to dobrze. Hrehorko jest zaciętym i popędliwym, z duszy nienawidzi Polaków. Naszego łacińskiego obrządku, znieść nie może a gdzie się uda, to nam dokucza; kto wie, czy nie poniewierałby i popsuł chłopca, dla tego, że jest Polakiem?! Niech u nas zostanie. Rano posłuży w kościele, potem pójdzie do szkoły, w domu coś pomoże i ot, darmo chleba jeść nie będzie.

Złożyło się więc wszystko dobrze; Staszek miał zapewnioną opiekę.

Ukończył najpierw miejską szkołę, uczył się potem grać na organach, usługiwał w kościele i na plebanji, a że był posłusznym i uczciwym, dobrze mu więc było u księży.

Zośka tymczasem zostawała u swych opiekunów, bawiła im dzieci, pasła gęsi, bydło i usługiwała w domu. Bili ją nieraz, popychali, wyśmiewali jej sieroctwo i wiarę, ale cóż miała biedna robić?

Tak minęło przeszło lat ośm.

Wtym to czasie, zaprosił ks. proboszcz księży Jezuitów na Misje. Lud garnał się tłumnie z przynależących do parafji wiosek do kościoła w miasteczku. Przychodzili także i Rusini, aby słuchać nauki misyjnej.

Ze Słobódki, o pół mili oddalonej, wiele także przychodziło ludzi. Staszek szukał pomiędzy

nimi swęj siostry, ale nie znalazł, pytał znajomych, czy nie chora przypadkiem, odpowiedzieli mu, że nie; nie przyszła zaś dla tego, że jej Hohorko nie puścił.

Wiadomość ta zabolala Staszka bardzo. Jakkolwiek lat 20 dopiero dobiegal, zastanawial się jednak nad wszystkim powaznie. Wyrobilo go takim zapewne pilne czytanie ksiazek, które od księży i w szkole pozyczal i dobre towarzystwo ze starszymi gospodarzami.

Zoska przychodzila zwykle do kościoła tylko raz na rok, aby odbyć wielkanocną spowiedź. W niedziele i święta zastępowala gospodynię w domu z rana, a po południu szla na nieszpór do cerkwi, gdyż Hrehorko nie pozwalal iść do kościoła, tłumacząc, jej że daleko, więc szkoda czasu, a ruski Pan Bóg tak dobry, jak polski.

— Jest na opiece i łasce krewnych, więc słuchać ich musi — rozumowal Staszek — ale dziś taka uroczystość w parafji, uroczystość, jakiej ludzie nie pamietaja, a kto wie kiedy się powtórzy i siostra moja mialaby nie mieć czasu nawet na dwie godziny, aby przyjść, posluchać tak pięknych nauk, wypowiadać i wykomunikować się i dostąpić odpustu papiezkiego? — Nie, to nie może być — rzekl z postanowieniem — pójde, będę prosil opiekunów, muszą jej pozwolic.

I ulatwiwszy się z robotą, pobiegł wieczorem do Słobódki.

Kiedy wszedł do izby, zastal wszystkich przy wieczerzy. Długa ława stala na pośrodku, na niej misa ze ziemniakami, druga z mlekiem, na niższej ławie lub stołkach siedzieli gospodarze, dzieci i Zoska. Palący się na kominie ogień oswiecal izbę.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus:

— Na wieki — odrzekł Hrehorko i dodał:

— a co ty z misji uciekł?

— Ej nie uciekł ja, ale przyszedłem prosić was pięknie, abyście i mej siostrze pójść pozwolili.

— A ona co tam będzie robić na tych komedjach?

— Ej, nie grzeszcie opiekunie, nie nazywajcie kazań i mszy św. komediami, lecz pozwólcie pójść Zośce, a i sami pójdźcie posłuchać tych pięknych nauk.

— Ne durny, zawracać sobie głowy słuchaniem Jezuitów, co jak druciarze koronki jakieś u pasa noszą.

— Ot tyle ludzi ze Słobódki przyszło i polskich i ruskich i nie zawróciła im się głowa.

— Et, co mię ty tu namawiać będziesz — ofuknął diak — nasz ksiądz kazał nam pracować w polu, a nie czas tracić po misjach. Dość nam naszego ruskiego kazania w niedzielę, a co nam z jezuickich gadek? Albo oni się ruskiej wiary uczyli, he?

— Choć obrządek inny, zawsze jednak jeden Pan Bóg w cerkwi i kościele, jedno przykazanie, jedna wiara — bronił Staszek.

— Howory sobie zdrów; u nas jest taki zakaz, że chodzić nie wolno, i kwita, a jeżeli który Rusin poszedł, będzie on cały rok cienko śpiewał, już my mu przypomnimy misje.

— Ależ Zośka przecież jest Polka.

— A niech sobie będzie czem chce; póki u mnie służy musi się ze mną modlić do naszego ruskiego Pana Jezusa i ruskiej Matki Boskiej.

— Opiekunie, co wy mówicie? P. Jezus dla wszystkich jeden.

— Wynoś się zawczasu — krzyknął rozniewany Hreherko — albo cię wyrzucę za drzwi.

Staszek wyszedł co prędzej, wiedząc, że z opiekunem nie ma co żartować. Gniew i bojaźń miotają nim naprzemiany, łzą zabiegło oko. Stał chwilę przed chatą, potem jakgdyby mu dobra myśl nadeszła, zwrócił się ku wsi, gdzie w pośrodku drewniana, trzykopolna stała cerkiew, i poszedł na plebania ruskiego proboszcza prosić go, aby ten nakazał diakowi puścić Zośkę na misję.

Wieczór wiosenny był ciepły, siedział więc na ganku ruski paroch, ks. Lisicki, paląc fajeczkę i gawędząc ze swoją żoną i córką. \*) Kiedy ujrzał nadchodzącego Staszka pierwszy zagadnął:

— A co, przysłał cię twój ksiądz na szpiegi i zwiady do nas?

— Ej, gdzie tam mój ksiądz ma czas myśleć o zwiadach — odrzekł Staszek całując w rękę parocha, a potem imość — u nas tyle krętaniny w kościele i na plebanji, gdzie przeszło dwudziestu zjechało księży, że nie wiedzieć o czem pierw myśleć.

— No proszę, aż tyle księży — mruknęła popadia.

— Więc po coś przyszedł — pytał paroch.

— Przyszedłem po moją siostrę Zośkę, aby szła na misję, ale jej Hrehorko nie chce puścić.

— Na misję — mruknął z niechęcią paroch — my tu mamy co niedzielę misję.

— A gdybyś ty słyszał — dodała popadia — jak Zośka ze śpiewakami pięknie śpiewa pod-

---

\*) Ruskim księżom jak i innym obrządki wschodniego wolno się żenić.

czas służby bożej w niedzielę, toby ci się odechciało łacińskich organów.\*)

— Każdy naród chwali Pana Boga takim obrządkiem, jaki mu ojcowie zostawili, dlatego jabym chciał, aby Hrehorko puścił Zośkę, bo jest Polka.

— Dobrze robi, że jej nie puszcza — rzekł paroch.

— Dobrze, nie dobrze — rzekł rozdrażniony Staszek — ale temu dobremu trzeba raz koniec zrobić i siostrę wziąć na służbę do miasta.

— Będiesz jej opiekunem nieprawdaż, poważny obywatelu — z drwiącą miną dodała popadia.

— Jestem jej starszym bratem, więc muszę się biedaczką zaopiekować — rzekł z rezygnacją Stach.

— A czy ty myślisz, że tak łatwo o służbę.

— Ej, proszę pani, tyle dziewczek służy w mieście, to i jej się znajdzie miejsce jakie lepsze, gdzie nie będą bić i poniewierać sieroty, ani zakazywać chodzić do kościoła.

Ruski ksiądz widząc, że Staszko gotów to zrobić, co mówi, spuścił z tonu i począł łagodnie, uspakajająco przemawiać.

— No, no, nie masz się czego gniewać i sierzcić, Zośce u Szostaka nie jest tak źle, jak się skarży, powiedz mu niech do mnie przyjdzie, już ja mu każe puszczać ją do kościoła kiedy zechce.

Uradowany Stach ochłódł nagle i z wielkiej uciechy pocałował Jegomościa aż dwa razy w rękę

\*) U Rusinów nie ma organów w cerkwi, podczas mszy św. śpiewają diaki na głosy, dobierając sobie śpiewaków z pośród dziewcząt i męzczyzn.

i Jejmość, i panienkę nawet, co z szyderczym uśmiechem przysłuchiwała się całej scenie.

Idząc do Hrehorka pomyślał sobie.

— Ej, przecież to i ks. Lisicki nie taki zły jak powiadają. Prawda, że nie przyjechał na misje, jak inni ruscy księża, choć go nasz ks. proboszcz prosił, prawda, że lubi dokuczać Polakom, szydzić z nich, ale to nie dla tego, żeby był moskalofilem,\*) ale to już taka natura pewno.

Pocziwy chłopak nie wiedział, że każdego moskalofila natura, to chytra, podstępna, fałszywa i zjadliwa więcej, niż Moskala prawdziwego.

Poszedłszy do chaty diaka, powiedział żonie jego, która właśnie wyszła była na podwórze, aby wysłała męża do proboszcza, bo mu kazał przyjść do siebie natychmiast.

Hrehorko usłyszał, poszedł zaraz na plebanią, i powrócił już późno, kiedy wszyscy na dobre spali.

Nazajutrz rano wydoiwszy krowy i powiązawszy je na sznur, chciała Zośka pójść z niemi na miedzę, ale jej opiekun nie pozwolił i wysławszy swego chłopca w pole, kazał sierocie pójść do kościoła na misje.

Kiedy ucieszona Zośka biegła do miasta, Hrehorko wróciwszy do izby zagadnął żonę:

— Słuchaj stara, wczoraj otec\*\*) swarzył, że bijesz i poniewierasz Zośkę.

— A cóż to, dla parady trzymam tego dziada w chałupie?

\*) Stronników Moskali, zwią moskalofile.

\*\*) Dawniej Rusini mówili do swoich księży: Jegomość, teraz wprowadzają zwyczaj używany przez Moskali i mówią otec — ojciec.

— Staszko groził, że ją weźmie do miasta na służbę.

— To niech leci na cztery wiatry, znajdzie się druga.

— Drugiej trzeba płacić, a nas w dodatku na języki wezmą. Mówił otec, że szkoda ją puszczać między Lachy. Przyzwyczaiła się już do świętej cerkwi, to niech i przy Rusinach zostanie. Potem ją się wyda za jakiego rewnego mołojca, to i do Lachów nie wróci.

— Prawda, prawda, toby dobrze było — potakiwała żona, olśniona tym planem otca.

— Ale teraz ją bić już nie trzeba, ale dogadzać trochę i pochlebiać, żeby wiedziała, że jej u nas dobrze i nie uciekła do miasta.

— Dobrze, dobrze — mówiła baba. — Dam jej kuleszy\*) z naszej misy, w niedzielę mleka garnuszek i barabole\*\*) posmaruję masłem.

— Ale jeszcze jedno słuchaj — przerywając to wyliczanie, mówił diak. — Ja ją będę wysyłał czasem do kościoła, a ty jej odradzaj, albo daj robotę jaką pilną — albo ze sobą do cerkwi zabierz, aby nie myślała że ją zmuszam. Inaczej ten mudrahel Stach, co to się w szkole trochę rozumu nauczył, narobiłby gwałtu i odebrał dziewczkę.

— No, no, już ja potrafię ją uchodzić, zostaw to mnie — zapewniała opiekunka.

Tak tedy przyjęty został pan i obmyślane środki, w jaki sposób mieli Zośkę przeciągnąć z łacińskiego na obrządek grecki, czyli jak tam powiadają, z polskiego na ruski.

\*) Mamałyga.

\*\*) Ziemniaki.

Staszek tymczasem cieszył się, gdy zobaczył Zośkę na misji, przychodzącą regularnie, codziennie słuchającą z nabożeństwem kazania.

Przed końcem misji była generalna komunია. Ksiądz Jezuita w pięknem kazaniu mówił o brzydocie grzechu, z którego się oczyścili i miłości Pana Jezusa, którego mają przyjąć. Płakali rzewnymi łzami i młodzi i starzy, i Polacy i Rusini. Nastąpiła potem komunია św. wzdłuż kościoła po jednej stronie dla Polaków, po drugiej osobna dla Rusinów, gdyż ci według obrządku greckiego przyjmują komunię pod dwoma postaciami, tj. wina i kiszzonego chleba.

Staszek klęknął do komunii św. obok swej siostry Zośki mówiąc: — sierotami jesteśmy, trzymajmy się zawsze razem.

Po komunii św. było jeszcze kazanie, a potem ludzie rozeszli się do domu, kupując sobie na pamiątkę dnia tego poświęcane szkaplerze, obrazki, to książki, różańce, lub medaliki, które księża misyonarze ze sobą przywieźli.

Stach kupił także sobie i Zośce szkaplerzyk, a że czytać siostra nie umiała, więc zamiast książki ładny różaniec z medalikiem M. B. Częstochowskiej.

Odprowadzając siostrę kawałek, upomniął ją Staszko pod wrażeniem tej uroczystej chwili mówiąc: pamiętaj Zosiu, ile razy mówić będziesz różaniec, dodać jeden paciorek za dusze naszych rodziców, a szkaplerzyk niech ci przypomina przykazania Boże i strzeże w czystości. Nie słuchaj mów i szyderstw jakie miota Hrehorko na nasz św. obrządek, kochajmy go, bo to nam tylko w spuściznie zostawili ojcowie. — Przychodź często

do kościoła, a jak Bóg pozwoli, może ci znajdę w mieście służbę, to i koniec będzie twej biedzie.

Za miasteczkiem pod figurą rozstali się; Stach ucałował siostrę, przeżegnał się i wrócił do miasta, a Zośka przyłączyła się do dziewczuch, co także z Missji wracały do Słobudki i poszła z nimi ku wsi. Trzy z nich były rusinki, a jedna polka. Idąc, rozprawiały to o missji, to o ludziacch, co z dalekich stron na nią przyszli, a potem pokazywały sobie kupione pamiątki, cieszyły się niemi, chwaliły wzajemnie, zwyczajnie jak młode dziewczęta.

Oglądanie pamiątek miało właśnie miejsce, kiedy przechodziły obok cmentarza, z którego właśnie po jakimś pogrzebie wychodził z grabarzem diak Hrehorko. Skoro ujrzał, że dziewczęta pokazują sobie kupione szkaplerze i różańce, rzucił się na nie niespodzianie i nim te miały czas pojąć, co chce od nich, wydarł im poświęcane pamiątki, podarł, poszarpał i rzucił na ziemię, krzycząc:

— A grzesznice, a bezbożnice, ubieracie się w jezuicką tandetę! — zdradzacie ruską wiarę, a przynosicie polskie zabobony...

Dziewczęta zaczęły płakać, krzyczeć i schyliwszy się zbierać pororzucane kokosowe ziarnka różańców i szkaplerzyki, ale rozruszony diak rozpędził je przeklinając i grożąc obiciem.

Wystraszone dziewczuchy pouciekały do domów, płacząc i opowiadając po drodze świętokradzki czyn diaka.

Zośka zapytana przez opiekunkę, czegoby płakała, opowiedziała co się stało. Diaczicha (Diaczka) zmiarkowała zaraz, że mąż jej źle zrobił, wydzierając i Zośce różaniec: raz, że ona była

polka, a po drugie, było to wbrew poleconemu przez otca planowi.

Poczęła więc hołubić i uspokajać sierotę, mówiąc, że mąż pewno jej między Rusinkami nie spostrzegł, kiedy grabił różańce, — że musiał być pijany, dla tego takich się figlów dopuścił, — że on jej opiekunem, więc nie powinna z innemi razem na niego wygadywać, ale go jeszcze bronić.

Dała jej potem sute śniadanie z garnuszkiem mleka i posmarowaną kuleszą, wetknęła w rękę 4 centy na obwarzanki, pocałowała w czoło i w ten sposób przekonała i udobruchała dziewczynę.

Ale ojcowie tamtych dziewcząt inaczej się na tę sprawę patrzyli. Wiedzieli oni, że diak na Polaków zawzięty i że rozmyślnie dopuścił się karygodnego czynu. Zebrali się więc razem i poszli do otca Lisieckiego na skargę.

Otec wysłuchawszy sprawy, którą już znał z raportu samego diaka, odpowiedział, że Hrehorko, jako strażnik i sługa cerkwi św. dobrze sobie postąpił. Wtedy odezwał się Marcin, ojciec owej drugiej polki mówiąc:

— A czyby jegomość pochwalił, gdyby do cerkwi przyszedł nasz kościelny i porozrzucał po ziemi ikony\*) ruskie.

— Idy — on twoją córkę zna, czy co? Widział ruskie krasywycie, że chcą nową jakąś jezuicką wprowadzać modę, więc im dał sprawiedliwą nauczkę.

— Otcze wielebny, mówili ruscy gospodarze, taże to jedna wira i jeden Boh! Lachy chodzą do cerkwi, a my do kościoła od wieków. Oni do Żar-

---

\*) Obrazy.

wanicy, a my chodzimy do Trembowli na odpust, oni śpiewają nasze pisny, a my z różańca się modlim, bo czytać nie umiemy — a że kto nosi szkaplerz, to nic dziwnego, bo i poprzedni proboszcz pozwalał, i po innych wsiach pozwalają księża.

— Otóż dla tego, że ludzie ruscy chodzili do kościoła i przynieśli ztamtąd polskie zwyczaje, — dla tego bardzo się skaził obrządek św. naszej cerkwi. Księża, którzy wpierw na to pozwalali, robili nie dobrze, a teraz konsystorz nakazuje oczyścić z tych naleciałości naszą cerkiew, i dla tego ja na to nie pozwolę.

Parafianie odeszli z kwitkiem od parocha, nic nie wskórawszy. Diak tryumfował i odgrażał się jeszcze innym — dla tego ukrywali ludzie przed nim swoje szkaplerze i różańce, aby nie dopuścić zniewagi poświęconych rzeczy.

Postępowanie diaków względem Zośki zmieniło się od tego czasu zupełnie, a kiedy w następną niedzielę Zośka poszła do kościoła, przyrzekła nawet, Staszкови nie wspominać o zaszłym z różańcami wypadku. W dwie niedziele później, dzień był piękny, pogodny, Zośka prosiła się znów do kościoła.

— Jak chcesz, to idź, — rzekł opiekun.

Kiedy się dziewczyna zaczęła zbierać.

— Ej, ej, mówiła diaczicha, siedząc na skrzyni pomalowanej w białe i niebieskie kwiaty, — i czy to warto tyle światy iść do kościoła, kiedy pod nosem cerkiew? I kto się tam na ciebie popatrzy, kto zagadnie? a tu każdy chłopiec goni cię oczami i powiada, ej, jaka to krasna diakowa Zośka! a kiedy na mszy zaczniesz śpiewać, Wieruju, albo Meży Cherubim, to głos twój wszystkich przenosi śpiewaków, a starym aż się serce

raduje i powiadają kiwając głowami: śpiewa jak sołowiej. \*)

Zośce aż się ciepło robiło, słuchając tych pochwał, ale przypomniała sobie przestrogi brata, więc rzekła:

— Radaby ja poszła do cerkwi, bo to się z całej duszy wyśpiewać można, ale boję się Stacha, żeby na mnie nie swarzył.

— I cóż to Stach ci jeść daje, albo ci męża znajdzie, kiedy sam hołysz i z łaski żyje? a tu i mój człowiek i otce o tobie nie zapomną gołąbku mój. Jak będziesz się im zasługiwać, wydadzą cię za męża i będziesz swoja panią.

Zośka tym ostatnim argumentem była już zupełnie podbita, bo jak każdej dziewczynie uśmiechało się jej zamążpójście. Kiedy się więc ubrała, rzekła:

— Może to i dobrze mówicie, że sobie trzeba łaskę u otca zaskarbić, pójdę więc z wami do cerkwi.

Diaczycha powstała ze skrzyni, ucałowała Zośkę w czoło i idąc z nią razem do cerkwi mówiła:

— Otóż tak dońko moja, słuchaj mię zawsze, bom ja ci tak jak druga matka, a nie dawaj ucha buntownikowi Stachowi; bo co on chce, dać cię na służbę do miasta, gdzie te panie to nie przemówią po ludzku do sługi, i po kątach ją popychają. Tuś ty nasza, każdy cię zna, dobre słowo przemówi, ot i teraz patrz, jak za tobą chłopcy ślipją.

I rzeczywiście, gromada mołojców stojąc kupkami po drodze i rozmawiając, przypatrywała

---

\*) Słowik.

się urodziwej Zośce, która ubrana we wstążki z przerzuconą przez ramię kolorową ciemną chustą — było podarek od Stacha — szła z swą opiekunką do cerkwi.

Dziewczynie było to przyjemne, a gdy po nabożeństwie jeszcze ją popadła pochwaliła, parę słodkich rzuciła słów i parę obietnic była już zupełnie przekonana, że lepiej się Rusinów trzymać, jak Stacha. I Diakowie ze swej strony nie zaniedbali żadnej sposobności, aby jej bałamucić głowę, a popadła zawołała ją nieraz do kuchni i w dowód wielkiej swej łaski, pozwoliła myć, naczynie szorować i przypatrywać, jak to się gotuje pańskie jedzenie, z którego po obiedzie dostawała i ona ochłapy do skosztowania.

Około św. Jana zmieniano w mieście służbę, więc kiedy przyobiecano Staszкови przyjąć siostrę do służby na poczcie, poszedł on do Słobudki, i prosił opiekunów o puszczenie Zośki. Diak nie chciał się na to zgodzić, twierdząc, że ją tak długo już chowa, że żał mu dać ją między obcych ludzi. Próbował więc Stach namówić siostrę, aby poszła z nim, zostawiwszy Hrehorkowi rzeczy, które sobie z miesięcznej zasługi i jego oszczędności znowu posprawia, ale Zośka nie chciała go posłuchać. Mówiła że jej teraz tu dobrze już — a ona panom służyć nie umie, bo tam inna robota, a lada miesiąc to i odprawić mogą i gdzież ona więc tułać się będzie z kąta w kąt, nie mając swego domu i żadnego oparcia...

— A czemuż i teraz nie chodzisz do kościoła, skoro ci już pozwalają opiekunowie?

— Ej braciszku, żebyś wiedział, jaka to krętanina i robota w domu przy kuchni i dzieciach,

tobyś uwierzył, że nim się człek opędzi, już i 10-ta godzina. Kiedyż zalecieć do miasta?

I Zośka poczęła się dalej kłamstwem bronić.

Stach widząc, że siostra nie chce pójść za jego radą, nie nalegał więcej, ale rzekł: myślałem że ci dobrze zrobię, szukając służby, skoro jednak mówisz, że ci tu lepiej, rób tak jak uważasz. Pilnuj się jednak, i pamiętaj, że twój los zawisł od ciebie samej. Jeżeli zrobisz źle — to zrobisz tylko sobie.

Zośka jednak myślała, że źle nie robi. Po co jej szukać biedy i pracy pomiędzy ludźmi, kiedy tu prędzej się jej jakie zameżcie trafi i będzie swoją panią, jak to jej diaczycha obiecywała.

Wnet potem naznaczył ją otec starszą siostrą w bractwie cerkiewnym, popadia darowała niebieskie paciorki, — i od tego czasu Zośka już z własnej woli, mimo upomnień Stacha chodziła do cerkwi, a nie pokazała się nigdy w kościele.

\* \* \*

Był to rok 1863. Wielu między nami żyje, którzy pamiętają te smutne czasy, kiedy rząd moskiewski uciskał i drażnił Polaków w Królestwie, a ci niecierpliwi porwali za broń. Wtedy uwijało się z Galicji wielu z za kordonu rosyjskiego wysłańców, a ci werbowali ludzi, kupowali ubrania, broń, amunicje i t. p. rzeczy. W każdym mieście roiło się od nieznanych ludzi, co przyjeżdżali, zabawili chwilę, porobili interesa, i jechali dalej na wschód.

I do naszego miasteczka przybył raz młody, około 30 lat liczący hr. Janusz X., i prosił ks.

proboszcza, aby mu dał pewnego człowieka na dni kilka, gdyż obcy w tych stronach potrzebuje go do załatwienia niektórych interesów w okolicy. Ksiądz kazał Staszкови jechać z hrabią. — Po tygodniu dopiero wrócili z powrotem do domu, a p. Janusz za fatygę darował Staszкови na odjezdnym ładny błyszczący pistolet. Stach ucieszył się nim ogromnie, i oglądał go na wszystkie strony. Nie raz on wzdychał do takiej zabawki, ale nie miał tyle pieniędzy, aby sobie ją kupić. Hrabia widząc to zajęcie zagadnął:

— Ej, Staszku, a możebyś ty ze mną pojechał, dostałbyś jeszcze i ładny karabin.

— Jakby pan wziął, tobym z nim wszędzie poszedł.

— Ale bo tam, gdzie ja pójde, to mogą zabić, uciąć rękę, nogę, albo wziąć do niewoli.

— Albo to ja jeden tam będę? poszli drudzy, kiedy trzeba pójde i ja.

— A ks. proboszcz pozwoli? pytał hr. jego mości, co z dumą patrzył na dzielnego swego wychowanka.

— Ha, kiedy ma ochotę, rzekł ksiądz, niech idzie, Bóg to raczy wiedzieć, czyście tę sprawę dobrze obmyślili; kiedy już zaczęta, dziej się wola nieba.

Widząc, że ks. proboszcz pozwala, pobiegł Stach do pokoju, zrobił ze swych rzeczy małe zawiniątko i ucałowawszy ręce dobrodzieja siadł obok Janusza i pojechał za innymi na wschód.

Droga wypadała im przez Słobudkę, gdy więc prosił Stach hrabiego, by mu pozwolił pożegnać się ze siostrą, przystał ten na to z ochotą zajechał przed karczmę, a młody rekrut pobiegł ku chacie diaka. Siostrę zastał w domu, lecz nie

chcąc przed Szostakami nic o swej mówić podróży, wywołał ją pod pozorem interesu na przechadzkę.

Idąc drogą opowiedział Stach siostrze o swem postanowieniu i podróży. Zośce żał się zrobiło brata, boć to jedyny jej krewny pójdzie gdzieś w świat na wojnę, — żał się zrobiło tych pięknych wstążek, chustek i spodnic, które jej kupował.

Byli już niedaleko cmentarza, więc Stach rzekł: pójdźmy na cmentarz, niech się na grobach rodziców pomodłę, niech mi na drogę z drugiego pobłogosławią świata.

Modlili się chwilę, nad mogiłami, których krzyże ocieniało drzewo akacji, poczem Staszek ucałował groby, wstał, otarł oczy i ujawszy siostrę za rękę rzekł:

— Zosiu, siostro moja — ja idę na wojnę i Bóg wie co się ze mną stanie śmierć, niewola, choroba, wszystko to może mię spotkać, przyrzeknij mi, że się za mnie pomodlisz czasem, że modlić się nie zapomnisz za naszych biednych rodziców.

— Przyrzekam — odrzekła dziewczyna.

— Majątku nie zostawili nam rodzice ale zostawili dobre imię, piękne zasady w nas wpajali i przykładem swym wskazali, jak postępować mamy. Imię to ich zawsze godnie nosić należy, nie splam go nigdy i w pamięci świętej przekaz kiedyś swoim dzieciom.

— Dobrze. —

— Wspominała matka często o naszym ojcu. Był on pracowitym, trzeźwym i pobożnym. Nigdy nie poszedł na spoczynek, aby się nie pomodlił, nigdy roboty rannej nie rozpoczął, aby się nie przeżegnał i nie westchnął do Boga. Kochał swój naród, swoją wiarę, swój obrządek, i zawsze mówił,

że chciałby nas na dobrych wychować Polaków, na przykładnych katolików. Bóg zabrał go wczas do siebie a za nim wnet i dobrą matkę naszą.

Jednakowoż matka często powtarzała nam jego nauki, przykładem utwierdzała w nich i mówiła: dzieci bądźcie dobrymi, aby z za grobu błogosławił wam ojciec, abyście byli pociechą dla mnie matki w mem wdowieństwie i opuszczeniu.

Zosiul i ojciec i matka już dziś z poza grobu patrzą na nas. Pokażmy życiem naszym, żeśmy godnymi ich dziećmi. Kochajmy tę wiarę i ten obrządek, jaki nam przekazali; szanujmy narodowość polską i język polski, którym do nas przemawiali, w którym nauczyli nas pacierza.

Ja tu na ich grobach przysięgam, że chcę godnym być ich synem i w życiu swem postępować tak, aby zasłużyć na ich pochwałę. Czy ty uczynisz tak samo?

— Uczynię.

— Z pewnością?

— Z pewnością. —

— Siostro, mówił Stach dalej, — nie gniewaj się, że ci to mówię, ale mnie się nie podoba a twoja przyjaźń z Rusinami, skoro się dzieje ze szkoda naszego obrządku. Oni cię pewno prześlęć chcą do siebie.

— Ej, zaś tam, niby z gniewem odparła dziewczucha.

— Zosiu, tu na grobach rodziców, przysięgnij mi, że nie odstąpisz tej wiary św. i obrządku jaki nam ojcowie nasi przekazali.

— Przysięgam, — rzekła, prędko Zośka. Staniszek uspokojony, ucałował siostrę, na znak zawartego przymierza, schylił się, wziął nieco z mo-

gilek ziemi, na pamiątkę, zawinał w papier i schował do książeczki do modlenia, którą zawsze w kieszeni nosił, i do swej fury poszedł.

Długo by to było opowiadać rozmaite koleje, jakie Staszek na wojnie przechodził, walcząc dzielnie w jednym szeregu obok hr. Janusza, który go bardzo polubił i rozstać się z nim nie chciał.

Wojna cała skończyła się nieszczęśliwie dla narodu, a i dla naszych dwóch znajomych podobnie. Zaskoczeni ze swym oddziałem znienacka w nocy w lesie i otoczeni do koła przez Moskali nie poddali się wiarusy na rzeź jak barany, ale chcąc się przedrzeć nabili dużo nieprzyjaciół. Siła ich jednak była cztery razy przeważająca, więc, uleść musieli. Część przedarła się i uciekła, a część dostała się do niewoli.

Miedzy ostatnimi był Stach i Janusz, obaj ranni. Stach ocalił hrabiemu życie, opadniętego bronił, odbił cięcie, którem Moskal chciał mu roztrzaskać głowę, lecz w tej zamieszce sam dostał kilka uderzeń aż zemdlony upadł. Oprzytomniał dopiero na wozie, na którym obydwóch wieziono do szpitala. Janusz był tylko lekko draśnięty w nogę, lecz udał ciężko chorego, gdyż przemyślał nad ucieczką, do której dopomógł mu przekupiony żołdat. Zanim zniknął, dał resztę gotówki Stachowi z tem upomnieniem, aby gdy wyzdrowieje i on próbował tego szczęścia i zgłosił się do niego do Rudna, wioski położonej w Zachodniej Galicji.

Ale Stachowi nie tak wnet zrobiło się lepiej. Lewa ręka w dwóch miejscach tak ciężko zranioną była, że mu ją odjąć musieli. Długo się lizał w szpitalu, a gdy się rana podgoiła, skazano go i zapędzono w niewolę na Sybir.

W Słobudce długo nie wiadano co się ze Stachem stało: czy żyje, czy w niewoli. Wielu wróciło, ale on nie wrócił. Pewnie w bitwie zginął mówili ludzie a diak dodawał: dobrze mu tak, skoro na Moskali buntował się, to mu i koniec zrobili.

Zośka popłakała czasem, ale wnet żal jej wypersadowała popadia mówiąc, że to grzech płakać za powstańcem, bo kto był wrogiem moskali, to i wrogiem był świętej cerkwi i P. Boga.

Minęło lat przeszło dwa, o Stachu już gadać przestali, a i Zośka o nim zapomniała, bo i cóż miała o umarłym pamiętać, kiedy ją swatali za Wasylka, rusina, co za porobka służył u otca na plebanii.

Zośka wolałaby pójść za jakiego bogatszego, skoro jej państwo obiecywali, ale popadia, która teraz rolę swachy na siebie przyjęła, tłómaczyła, że nie mając posagu, i tak świetną robi partję, gdyż Wasyl ma chałupę po ojcach; — zawsze to swój ką.

Ba, ale podbechtany Wasyl nie kwapił się znowu tak bardzo, do ołtarza i żądał żeby przeszła na ruskie, gdyż on się z Polką żenić nie chce.

Zośce jakoś smutno się zrobiło, bo przypomniała sobie przyrzeczenie uczynione Stachowi, ale kiedy nad tem myślała, spotkała ją na drodze stara wiedźma Makryana, Rusinka, pijaczka, która była we wsi żebraczką, doradczynią, znahorką, i czem kto chciał. Żaden chrzest, pogrzeb, ślub, nabożeństwo, nie mogły się odbyć bez jej dorady i pomocy. Przy takich okazjach nie zaniedbała porządnie się upić i coś z ziarna, drzewa i t. d. dla siebie wyszachrować od ludzi.

— I czego to gołąbku tak osowiałeś? zaczęła idącą Makryna.

— A mało to człowiek ma strapienia, aby się weselił, odparła Zośka.

— Ej, duszko masz chłopca ładnego jak lalka, ciesz się, że cię z nim do cerkwi do ślubu zaprowadzą.

— Kiedy Wasyl bałamuci, chce żebym na Ruskie przeszła. —

— Wasyl mądry, po co byś ty do kościoła chodziła, kiedy daleko, po co polskiemu księdzu płacić za ślub, kiedy ci tu otec za darmo wyprawi taką paradę w cerkwi, jak jakiej popadiance; — a co ci z Polaków, kiedy ci nic nie dali! A on Rusin przygarnie cię sierotę i ptasiego mleka ci nie zabraknie. Wasyl umie czytać, może go otec poddiaczym zrobić, będzie ci to wtenczas dobrze, będzie! Czy chrest\*), czy pohoron\*\*), parastas, czy syrokousty\*\*\*), a tu ludy dają chleb, dają jaja, miód, kielbasę, a na kolendę ziarno, że i na cały rok tego po uszy!

— A coby to Stach powiedział, gdyby wstał z grobu, że ja na Ruskie przeszła.

— Stach powstaniec — buntownik, co on kiedy mądrego ci powiedział? Sam źle zrobił i ciebie źle uczył.

Tak prawiła Makryna wywijając kijem, tak mówił diak, popadia i inni obiecując dziewczynie złote góry, że dla nich wyparła się ona obrządku swoich rodziców i złamała przysięgę uczynioną na ich grobie Stachowi.

\*) Chrzest.

\*\*) Pogrzeb.

\*\*\*)) Żałobne nabożeństwo, Rusini wtenczas dają 2 chleby księdzu, 3-ci diakowi.

Wkrótce wyszły zapowiedzi, Zośka spowiadała i komunikowała się według obrządku greckiego i wzięła ślub w cerkwi, którą wspaniale oświecono. Ludu było mnóstwo, a gdy otec dla odszczególnienia włożył pozłacane korony\*) na głowy nawożeńców, śpiewacy zaśpiewali im *Mnohaja lita!*

Po huczmem weselu, skromne trzeba było prowadzić życie. Początkowo Wasyl z żoną służyli na plebanii, ale przed rokiem jeszcze oddalono ich pod pozorem, że żonaty parobek nie tak raźnie się około roboty krząta, jak kawaler. Poszedł więc Wasyl służyć na folwark, a Zośka chodziła na zarobek. Czasem nie było co i do gęby włożyć, i z Wasylem pożycie nie było najlepsze, ale Zośka chwaliła sobie to życie mówiąc: że jest swoją panią; chce jej się robić, to robi, -- nie chce, to odpoczywa, i na kieliszek do karczmy pójść ma za co, i sąsiadkę u siebie potraktować. Mąż jej lubił serdecznie kieliszek i ona nie była od tego, dla tego z Makryną polubili się bardzo, bo ta przemyślna kobieta umiała zawsze jakąś okazję znaleźć gdzie za darmo uraczyć się można było.

I znowu minęło tak dwa lata, kiedy ludzie wracając z targu z miasta, przynieśli Zośce list. Zośka nie umiała czytać, więc list leżał nierozpечetowany, aż późnym wieczorem przyszedł z folwarku Wasyl, „i przy kopcącym świetle lampki bez szkiełka odczytał go powoli. — Pisał tam Stach o swem nieszczęściu, ucięciu ręki, długiej chorobie i niewoli, z której za staraniem hr. Ja-

---

\*) Dawniej przed oczyszczeniem cerkwi z naleciałości łacińskich, używano wianków.

nusza powrócił i w Rudny przy nim zamieszkał. Prosił dalej siostrę, aby do niego przybyła, gdyż on teraz na piersi słabowity, opieki potrzebuje.

Zośka przyjęła obojętnie tę wiadomość że brat żyje i powrócił, i cóż jej z tego za korzyść, kiedy ona dziś swoją panią; po co jej znowu służyć i słuchać, kiedy ona wolna jak ptak, — a nużby znowu Stach począł ją strofować w dodatku, że na ruski przeszła obrządek!

Napisz mu, rzekła do męża, że nie pójdę do niego, że wyszłam za męża, mam dwoje dzieci, nie mam więc czasu około kaleki pracować.

Staszka zdziwiła tak szorstka od siostry odpowiedź. Przecież on dla niej zawsze dobrym był bratem; każdy cent który gdzie dostał, składał, i jej suknie ładne szale, wstążki kupował, szukał dla niej służby i w niewoli ciągle o nią się kłopotał, o niej myślał, a dziś gdy z łaski hrabiego dostał pole i chatę i pensji trochę, za dozorowanie lasu, chciał ją wziąć do siebie, aby jej już na niczem nie zbywało.

W tem musi coś być, pomyślał. Napisał więc prośbę do ks. proboszcza, u którego się wychował, aby ten nakłonił siostrę do podróży, lub oznajmił mu przyczynę, dla czego do niego przyjść nie chce.

Ksiądz odpisał, że Zośka wezwana, nie przyszła do niego, a pewnie dla tego jechać jej się nie chce, bo rozleniuchowała się potrosze, a może i dla tego, że polubiła bardzo Rusinów i na grecki obrządek przeszła.

Była to przykra dla Stacha wiadomość, ale napisał jeszcze raz do siostry, donosząc że wie o tem, że na ruskie przeszła, że nie robi jej za to żadnych wyrzutów, niech z mężem i dziećmi

przyjdzie do niego, będzie jej dobrze i chleba im starczy wszystkim z łaski hrabiego.

Ale i teraz Zośce nie pilno było do brata, bała się pracy i wiedziała, żeby jej Stach napijać się nie pozwolił.

Wasył mówił: na co mi jechać na Mazury i wysługiwać się Lachowi, kiedy otec na wiadomość propozycji powstańca, obiecał mnie od nowego roku zrobić pałamarem w cerkwi! Człek się nie spracuje, a będzie miał i grosz i wódkę i chleb. Ty jak chcesz jedź, ale otec mówił, że skoro cię Rusini do siebie przyjęli, to ci i chleba tu nie braknie.

Zośka i bez tej obietnicy nie miała ochoty iść do brata, więc kazała mu odpisać, że z cudzej łaski żyć nie chce, bo ma swój chleb.

Stach widząc, że siostra już dla niego i dla polskiej narodowości stracona, nie próbował już więcej zapraszać jej do siebie. Gospodarzył sam na swem gospodarstwie, założył około domu duży owocowy ogród i bawił się pszczelarstwem. Że był stateczny i prawy, lubił go hrabia, lubili go i włościanie i nawiedzali go często pod lasem, ucząc się od niego i bartnictwa i ogrodnictwa, z czego także można mieć mały dochód.

Zośka zaś została na Rusi i piła coraz więcej, odkąd coraz częściej, zdarzała się durnica, gdy mąż został pałamarem.

I znowu przeszło lat 10 upłynęło od opowiedzianych wypadków, kiedy woźny sądowy przyniósł do Słobudki wiadomość o śmierci Staszka i odpis testamentu jego. Spadkobiercą mianowany był Klimek, dawny sąsiad rodziców Stacha. Między innemi było tam napisane.

»Majątek mój, który otrzymałem z łaski, hrabiego, a składający się z 15 morgów pola, domu, ogrodu i gotówki nie zapisuję mej siostrze, dla tego, że złamała uczynioną na grobach ojców przysięgę i wyparła się obrządku rzymsko-katolickiego, w którym rodzice nasi żyli i nam go przekazali i dla tego, że nie miała tyle serca, aby przyjść chorowitego pielęgnować brata.

— Nie zapisuję Szostakom, moim krewnym, gdyż ci źle się obchodzili z moją siostrą, a potem ją na ruskie przeciągnęli.

— Nie zapisuję gminie polskiej w Słobudce, gdyż Polacy nie chcieli zaopiekować się sierotą Zośką, gdy widzieli, że ją przeciągają na ruskie, i obojętnie patrzyli na to, że jedna Polka dla kościoła i dla narodu, ginie a idzie na marne.

— Ale zapisuję Klimkom, gdyż ci, o ile pomnę, dobrymi byli sąsiadami. Choć biedni radzili matce, gdy wdową była, ratowali a gdy chorowała często, a i dla nas sierót mieli zawsze dobre słowo. Proszę ich w zamian o modlitwę za dusze moich rodziców i moją i nawrócenie mej siostry...

Zośce teraz żal się zrobiło, że niesłuchała brata, nie słuchała swego księdza, lecz wierzyła obietnicom Rusinów. I czegoż się przy niech dorobiła? Chusty nie ma całej na sobie a dzieci w łachach chodziły. Narzekała na wszystkich, a zapomniała, że i ona wiele winna, bo jej się letkiego zachciało chleba bez pracy.

I Wasyl żałował, bo dziś byłby bogatym gospodarzem, kiedy teraz jest dziadem, — ale kto tam wiedział, że ta łaska pańska taka chojna. Stach pisał, że opieki potrzebuje a powodzenie obiecywał za pracę. Czemu nie powiedział, że dostał pole?!

Klimkowa stara ze synem, gdy się dowiedziała o spadku nie cieszyła się z niego w tym stopniu, w jakim Wasylowie gniewali i przeklinali. Owszem uważając całe dziedzictwo za własność Zośki poszła do niej prosząc, aby z nią razem jechała, razem w jednej chacie żyła i przynajmniej teraz opamiętała się i odmieniła życie.

Ale Zośka ani słyszeć o tem chciała. — Ho, ho, już ja tam nie pójde, kiedym pierw nie poszła. Jak chcecie, to weźmijcie moje dzieci, może tam na ludzi wyjdą między Mazurami, a ja zostanę tutaj. Obiecali mi Rusini dużo chleba, niechże mnie karmią teraz. A jaka tu wódka tania i lepsza niż na Mazurach! ha! ha!

I śmiać się zaczęła uśmiechem pijanicy, i podreptała do ulubionej kumy Makryny zalać robaka.

Klimkowa zabrała dzieci Zośki ze sobą na Mazury (tak zachodnią Galicję nazywają na Rusi) a matkę ich zostawiła jej smutnemu losowi.

---



# Krzyżacy i ich następcy.

Napisał

Franciszek Kozdraś.



CIESZYN.

Nakładem Edwarda Feitzingera.



**A** niedzielę po nieszpórach stali ludzie kupkami na pagórku koło kościoła w N... i rozmawiali pomiędzy sobą. Gospodynie gawędziły o zwykłych swych całodziennych zatrudnieniach gospodarczych i różnych kłopotach, gospodarze zaś o urodzajach, o zaszłorocznym omłocie i o tem jakich też tam plonów tego roku Bóg im udzieli. Inni snuli się długim rzędem tu i ówdzie do domów, również gwarząc po drodze. W tem z poza pagórka nadjechał szybko z miasta wóz dworski. Na wozie siedział mężczyzna dość jeszcze młody, z miejską ubrany, obo niego kobieta trzymająca na kolanach małe dziecko, a naprzeciwko nich na drugiem siedzeniu mały około 11 lat mający chłopiec. Była to rodzina, nikomu tutaj nie znana. To też zcwsząd pytano: Kto to? Jacy to ludzie? Skąd przybywają? — Nikt jednak nie umiał na to pytanie dać odpowiedzi. Niektórzy dziwili się znowu mówiąc: dlaczegoż oni są jacyś zmartwieni i dość mizernie wyglądają? — Ot pewnie biedaki szukają zarobku a nie mogą go znaleźć a Józek wziął ich po drodze na wóz powracając z miasta, gdzie jeździł pewno za jakim pańskim interesem.

— To jest kowal, wygnany z rodziną z Prus. A że nie ma u nas we wsi dobrego kowala, sprowadza go nasz pan, odezwał się Tomasz Pawąski, karbownik, poważny i sędziwy już mężczyzna.

— Cóż on tam takiego zrobił, że go aż wygnali, — zauważył jeden z gospodarzy.

-- Żeby to tylko jego wygnali, — odpowie Tomasz; — Prusaki wyganiają tysiące Polaków

z ich własnego kraju, jak mi to opowiadał wczoraj nasz pan ekonom, jedynie za to tylko, że są Polakami w Prusiech nieurodzonymi. Opowiadał mi dalej, że tak jak my tu jesteśmy pod naszym Austryackim miłościwym nam cesarzem Franciszkiem Józefem, są nasi bracia Polacy pod panowaniem cesarza moskiewskiego Aleksandra III. — i pod panowaniem króla Pruskiego Wilhelma. Król Pruski Wilhelm jest zarazem i cesarzem niemieckim. Polska nasza dawniej była wielkiem państwem, i mieliśmy własnych sławnych, dobrych i wielkich królów. — Wtedy bali się nas Niemcy, a kiedy z nimi było krucho, wyciągali do nas z prośbą ręce i prosili o pomoc, bo byliśmy w tedy narodem potężnym. Ale jak w domu jest niezgoda, kłóci się gospodarz z gospodynią, gospodarz w jedną stronę do karczmy, bo »dobry trunek na frasunek«, a gospodyni w drugą stronę, pożalić się do komoszek, to nie ma komu pilnować gospodarstwa, nicjedno się zmarnuje, a tu ciężary, jak podatki i różne opłaty wielkie, grosza więc potrzeba, to też zagładnie <sup>to</sup> bieda do leniuchów i próżniaków, aż wreszcie rozsypie się gospodarstwo, bo go zakupią żydzi za długi. Podobnie dzieje się i z państwami. Podobna niezgoda pomiędzy nami i lekkomyślność, były przyczyną upadku Polski. Kiedy u nas źle się działo, nasi sąsiedzi trzy razy rozbierali ojczyznę naszą w latach: 1772, 1793 i 1795. Tak rozłączeni zostaliśmy a ojczyzna nasza, rozdarta pomiędzy trzy państwa: Austryą, Prusy i Rosyą. — Najlepiej jest nam w Galicyi i na Szląsku w dawniej części ziemi Polskiej, pod panowaniem Najjaśniejszego Pana Franciszka Józefa I. cesarza austryackiego. Dobry monarcha użytył nam wszelkich swobód i praw,

chce abyśmy coś więcej umieli niż dotychczas, i wspiera nas prawie codziennie większymi datkami na budowę szkół w gminach i na kościoły. Pozwala nam też używać ojczystej mowy w szkole, w urzędach i sądach, o ludzie uczciwi i dobrzy, chociaż nie są poddanymi austriackimi, mogą spokojnie przemieszkiwać w granicach jego państwa. Inaczej dzieje się z naszymi rodakami w Prusach. Tam nie pozwalają im Niemcy używać ojczystej mowy polskiej swobodnie, dzieci w szkołach uczą wszystkiego tylko po niemiecku i chcą ich przerobić na Niemców przekręcając nawet i ich polskie nazwiska, w sądach, urzędach i wszędzie domagają się tylko niemieckiej mowy, uchwalają na sejmach uciążliwe prawa i ustawy na Polaków, prześladują ich świętą wiarę katolicką, gdzie mogą, to korzystają z biedy Polaków i wykupują od nich polską ziemię, aby na niej osadzić Niemców, dawne skarbowe dobra polskie dzielą na mniejsze gospodarstwa i osadzają na nich Niemców, uchwalili nawet w roku 1886. na sejmie sto milionów marek (60 milionów złr.) na wykupno gruntów od Polaków dla Niemców. Aby zaś tę niegodziwe czyny swoje usprawiedliwić przed światem, zaczęli krzyczeć i pisać po gazetach z rozkazu ich ministra najwyższego (kanclerza) księcia Bismarka, że to wszystko na to robią, aby się obronić od Polaków, bo Polacy nie sprzyjają rządowi, że bardzo się wzmagają i spalszczają Niemców, że jak tak dalej dźiać się będzie to zupełnie opanują Niemców i ich ziemię posiedzą. Wyganiaли też nagle tych wszystkich Polaków i z kraju polskiego, którzy nie są poddanymi pruskimi, i to tak nagle, że niejeden z tych wygnańców, nie miał czasu nawet sprzedać swego mienia, jak roli,

dobytku swego, ruchomości i t. p. Dawał też każdy z tych biedaków za pół darmo swoje mienia, bo mu nie' pozostawiono potrzebnego czasu na sprzedanie. Nie zważali Niemcy nawet na ludzi złożonych ciężką chorobą, tylko ich wywozili i wyrzucali za granicę, rodziców wysłali z kraju a ich synów tam urodzonych zatrzymali przy wojsku w służbie, słowem czynili wszystko, co tylko mogło Polakom przynieść największą szkodę i cierpienie, i do dziś dnia tak robią.

— Oj prawda to wszystko co mówicie, odezwał się Jan Mikicki. Dobrze widać spamiętaliście, co wam pan ekonom opowiadał, bo i ja o tem wszystkim wyczytałem z gazetek i pamiętam, że dzisiejsi Prusacy wygnali od jesieni 1885. roku do dnia 22 lipca 1886 roku, 532 rodzin a 1587 osób Polaków poddanych rosyjskich, a poddanych austriackich 203 rodzin a samych robotników 100 rodzin ogółem zaś około 40 tysięcy ludzi. Wszyscy ci nieszczęśliwi rodacy nasi schronili się przeważnie gdzie mogli w naszym kraju (w Galicyi) podobnie jak i ten kowal, którego nasz pan dziedzic do wsi sprowadził. Jeżeliście wszyscy ciekawi wiedzieć, co to za jedni są ci Prusacy dzisiejsi, co tak naszych braci Polaków gnębią, jak to powstało ich dzisiejsze królestwo Pruskie i jakimi sposobami doszli do dzisiejszej potęgi, to chodźcie do mnie, a przeczytam wam o nich z książek, to znów opowiem, com gdzie o nich czytał lub słyszał. Wszyscy ciekawi, więc chętnie ruszyli do chaty Jana Mikickiego.

Jan Mikicki, młody i czerstwy parobczak, jednak, mieszkał już przy starych rodzicach. Kiedy był małym chłopięciem, chodził pilnie do szkoły wiejskiej. Z początku nie posyłali go ro-

dzice regularnie do szkoły, bo go potrzebowali do pasienia bydła. Janek jednak pragnął koniecznie nauczyć się czytać i pisać i całymi dniami siedziałby w szkole, a tu rodzice nie zawdy mu pozwalali iść do niej. Co tu robić? przemyśliwa Janek; rodziców trzeba słuchać, a tu go chęćka ciągnie do szkoły. Jako dobre dziecko, udaje się z pokorną minką do rodziców, całuje ich po rękach i nogach i prosi płacząc, by mu pozwolili regularnie chodzić do szkoły. Chociaż koniecznie potrzebnym był Janek rodzicom, jakże nie wysłuchać prośby jedyne go dziecka, które pragnie nauki? — Z początku jak mogli obchodzili się bez pastucha, pasąc sami naprzemian, później przyjęli służącą, chociaż im to dość ciężko przychodziło. Janek uszczęśliwiony, nie opuścił nigdy nauki w szkole, a że pilnie się uczył, to też wiele pożytecznych rzeczy się nauczył kiedy ją ukończył. Nie chciał poprzestać Janek Mikicki na ukończonej nauce szkolnej. Mając niezamożnych rodziców, wychodził na zarobek, gdzie się tylko dało co zarobić. Zarobione pieniądze oddawał rodzicom, którzy mu z nich pewną częśćkę udzielali. Składał on też cent do centa, aby zakupić nowe i ciekawe książeczki do czytania. Że zaś przy skromnym kościółku parafialnym brakowało organisty, bo nie było dla niego dostatecznego utrzymania a i probostwo było nie wielkie, wyuczył się Janek w pobliskim miasteczku grać na organach, a tak został organistą. Przy organistostwie i skrzętnej pracy przy rodzicach na roli prędzej zarobił jaki taki grosz. Nie trwonił niepotrzebnie pieniędzy, rodziców starych już szanował i chętnie we wszystkim im pomagał i wspierał. Chociaż był panem organistą,

nie porzucił pięknego i schludnego stroju wieśniaczego, aby się przebrać w czarny szurdut z tandyty żydowskiej. Przy pracy i oszczędności odnowił i upiększył rodzicielską chatę, poprawił budynki gospodarcze, i nie tylko pożyteczne książki ale i gazetki już zakupywał, które pilnie co niedzielę i święta czytywał rodzicom i sąsiadom. To też ludno i gwarno tam wtedy było. Dowiadywali się tam u niego z gazetek, co słyhać w świecie, jakie są ceny zboża, jakie gatunki zboża i jak je najlepiej uprawiać, jak można rolę sztucznie poprawić a przytem mile schodził im boży dzionek, bo się nauczyli czegoś to z odczytanych ciekawych powiastek i historyi, to z książek i gazetek.

Witajcie nam kochani sąsiedzi! odezwał się do kilku przybyłych gospodarzy siwy już i pochylony staruszek, trzymający w wychudłych rękach różaniec, który w domu odmawiał, Żona jego także staruszka prosiła gospodarzy, by jedni posiadali na ławie pod oknami, drugim chciała postawić długą ławkę koło stolika, ale Janek Mikicki nie pozwolił matce tego uczynić, lecz spieszenie ją w tem uprzedził, potem przywitał obojga rodziców całując ich po rękach.

— Mój Boże! jak to miło widzieć tak dobrego syna, odezwał się jeden z przybyłych Jan Mazur. —

— Co tam o tem wspominiacie, przerwał mu spieszenie rumieniąc się Janek, który widocznie nie lubiał pochwał, jak każdy dobry i szlachetny człowiek. Dlaczegoż nie miałbym szanować rodziców? — Byli oni dobrzy dla mnie, wiele kłopotów i przykrości różnych doznali zanim mnie wychowali, przyczynili się najwięcej do tego, żem

się wiele pożytecznych rzeczy nauczył; gdym był mały i pasł bydło, sami ile możności mię w tem wyręczali abym mógł chodzić do szkoły na naukę, często też nie żalowali parę groszy w pocie czoła zapracowanych na pożyteczną książeczkę dla mnie, gdym jej sam nie miał za co kupić, posyłali mi odzież i pożywienie gdym się uczył w miasteczku grać u organisty.

— Co tam o tem wspominasz, odezwała się matka staruszka.

— Ot przeczytaj nam lepiej co ciekawego, to i goście nasi się zabawią, wtrącił ojciec.

— Dobrze! właśnie natośmy tu przyszli, ale może przyjemniej nam będzie na podwórzu w cieniu pod gruszą, odparł Janek.

Chętnie na to zgodzili się gospodarze, bo w izbie było dosyć parno, jak to zwykle w lipcu bywa, a Janek wynosił stołki i ławki pod gruszę, wyprowadził potem gości i rodziców, gdy wszystkich usadził tak zaczął:

Dzisiejsi Prusacy są przeważnie potomkami dawnych krzyżaków. Dlaczego się zaś tak nazywali, przeczytam wam z tej książki.

Gdy się wiara chrześcijańska rozszerzyła w Europie t. j. w tej części świata, w której się i nasze polskie kraje znajdują, udawało się wielu pielgrzymów daleko od nas na południowy wschód do Palestyny, aby zwiedzić te miejsca, gdzie się Jezus Chrystus narodził, żył tam, nauczał, cierpiał i umarł na krzyżu. Stolicą Palestyny była Jerozolima. Arabowie posiadali wtedy Palestynę. Wyznawali oni wiarę, którą zaprowadził u nich Mahomet. Ponieważ ta ich wiara nakazywała im odbywać pielgrzymki do miejsc, w których ich prorok Mahomet przebywał, to też nie wzbraniłi

chrześcijańskim pielgrzymom zwiedzać miejsc świętych w Palestynie. Gdy zaś później srogi i dziki naród turecki opanował Palestynę, żądano od chrześcijańskich pielgrzymów wysokiej opłaty za zwiedzanie miejsc świętych i srodze się prócz tego z nimi obchodzili. Z dalekich stron przybyli pielgrzymi musieli się modlić pod murami Jerozolimy, jeżeli nie mieli się czem Turkom opłacić. Znieważali też Turcy i miejsca święte. Widział te wszystkie bezprawia tureckie pustelnik Piotr z Amiens z Francyi, wstąpił do Rzymu, gdy powracał z ziemi świętej i opowiedział to wszystko w rzewnych słowach papieżowi. Zabolało na to serce papieża, dlatego też ogłosił w całym świecie chrześcijanom, że należy wydać wojnę Turkom w Palestynie, aby im odebrać miejsca święte. Wzywał też i ów Piotr z Amien jeżdżąc na mule z krzyżem w ręku od wsi do wsi od miasta do miasta gorącemi słowy lud do wyprawy na Turków. Cała też prawie Europa przysposobiła się do wojny. Każdy, młody czy stary przypinał sobie krzyż ze sukna na odzieży. Cesarze, królowie i książęta więźniów nawet wypuszczali na wolność, by się łączyli do tej wojny. Dlatego żołnierze ci nazywali się »Krzyżacy« a wojny te, wojnami krzyżowemi, które długie lata prowadzono. Pierwsza wyprawa się nie powiodła, w drugiej zdobyto święte miejsca i Jerozolimę, ale niezadługo odebrali ją Turcy. Potworzyły się potem na tych wojnach zakony rycerskie, aby dawać pielgrzymom w ziemi świętej pomoc, ochronę i przytułek chorym. Zakonnicy ciprzysięgali, że będą walczyć w obronie wiary Chrystusowej przeciw niewiernym, że się nie będą żenić, ćwiczyli się w rzemiośle wojennem obierali się w żelazne zbroje a na niej nosili

białe płaszcze z czarnymi krzyżami i nazywali się także »Krzyżakami«. Po skończeniu wojen krzyżowych, przeniosły się zakony krzyżaków do Europy i osiadły we Francyi i w Niemczech. —

W kraju, który dzisiaj zamieszkują przeważnie Niemcy i nazywają się [Prusakami, zamieszkiwali nie Niemcy ale słowianie jak i my. Oni byli to właściwi Prusacy. Wyznawali <sup>?</sup> wiarę pogańską, byli narodem dzikim i wojennym a ich kraj graniczył z zachodnio-północnej <sup>?</sup> strony z Polską. Graniczyła Polska również z <sup>?</sup> północy z Litwą. Litwini byli podówczas również narodem pogańskim. Otóż tak ci Prusacy jak i Litwini napadali często na polskie kraje i niszczyli je, palili wsie i miasta i rabowali. Przeciwno tym drapieżnym Prusakom, sprowadził za panowania Polesława Wstydliwego króla polskiego, Konrad książę mazowiecki Krzyżaków Niemców w roku 1227, nadał im ziemię <sup>?</sup> Chełmińską i polecił im bronić granic Polski przed Prusakami i Litwinami i nawracać ich na wiarę chrześcijańską. Książę Konrad panował wtedy w imieniu króla Polesława Wstydliwego, który był małoletni i miał dopiero 6 lat. Z początku, Krzyżacy pamiętali o swoim obowiązku, uczyli i nawracali Prusaków na wiarę chrześcijańsko-katolicką. Uczyli też przytem, że Niemcy są najpierwszym na świecie narodem, że dlatego każdy powinien się wyrzec swojej narodowości a przystać do nich i zostać Niemcem, albo ustąpić i śmierć raczej ponieść, aby tylko zrobić Niemcowi miejsce na ziemi, bo do nich należy panowanie nad światem. Tak uczyli i nawracali Prusaków, mordowali ich, aż ich ziemię posiadli. Zrabowali więc powoli nietylko cały kraj słowianom Prusakom, ale w końcu zrabowali

i ich nazwisko, bo się pod nie podszyli, obracając często miecz przeciwko swoim dobroczyńcom Polakom, a i dzisiaj się nad nimi znęcają,

— A! to ci dawniejsi Krzyżacy Niemcy nazywają się teraz Prusakami! odezwał się Tomasz Pawąski. Jaką też to wielką prawdę mówi nasze przysłowie które o nich można powiedzieć: modli się pod figurą a ma diabła za skórą. —

— Tak jest, ci Krzyżacy Niemcy zwą się teraz Prusakami, stali się panami pruskimi, opanowali i zawojowali właściwych Słowian Prusaków, którzy i teraz jeszcze istnieją, ale już w małej bardzo liczbie, bo ich Niemcy wynarodowili, odpowiedział Janek Mikicki. — Jeżeli nas tu odwiedzicie w przyszłą niedzielę, to wam opowiem, jak to królowie polscy z nimi wojny prowadzili, a oni raz pobici i upokorzeni, łasili się im by uzyskać ułaskawienie a w duszy myśleli o nowej zdradzie, jak gadzina, którą w drobne kawałki posiekać, to każdy jeszcze skacze i zwraca się swoim zdradliwym jadem na człowieka. Prosimy! prosimy! odezwali się wszyscy.

Dlaczegożbyśmy nie mieli przyjść, kiedy miło człowiekowi posłuchać takich opowiadań z dawnych czasów i nauczyć się wiele ciekawych rzeczy a resztę dnia świętego należycie spędzić. Tobie zaś drogi Janku dziękujemy za dobre chęci i fatygę dla nas, mówił Pawąski. Za nim i inni gospodarze dziękowali Jankowi, żegnając się z nim i jego rodzicami. — Da Bóg doczekać znowu niedzieli, mówili, chętnie posłuchamy dalej o tych Krzyżakach, bośmy bardzo ciekawi. —

Na pagórku do południa w wiosce N. stoi porządna chata z kominem, pobielona, pokryta słomą, a jeden szar u dołu i kalenica pobite

gontami. Na podwórzu koło chaty jest kilka starych już drzew właściwie czerech w płot wplecionych. Drzewa to wprawdzie stare ale znać koło nich staranie, ku południowi zaś przed chatą rozleży się duży ogród, a w nim pięknie porozsadzane młode drzewka szerokimi rzędami. Po między drzewkami małemi jeszcze, rosną ziemniaki, ogórki, buraki, marchew, mak. Starannie porobione ścieżki, krzyżują się tu i ówdzie pomiędzy rzędami, aby łatwo można do nich przystąpić. W kątku ogrodu ku południowi jest na kilku grządkach mnóstwo maleńkich drzewek — to szkółka drzew owocowych. Gospodarze chodzą po ogrodzie, oglądają go a chwalać że dobrze i pięknie urządzony. To słuchacze naszego Janka Mikickiego, organisty, który zatrzymał się na chwilę u księdza proboszcza po nieszpórach i dopiero teraz nadchodzi.

— Oglądamy twój ogród Janku. Bardzo on nam się podoba, bo ładnie założony, ale gdzieżeś ty się tego wyuczył, zagadnął Tomasz Pawąski nadchodzącego.

— Wszystkiego się można nauczyć, jeżeli człowiek tylko zechce, odpowie Janek. Wyczytałem ja to w książeczce »Pielęgnujcie drzewa owocowe« i zaraz zabrałem się do tej roboty. Większe szczepki nabyłem u pana nauczyciela w naszej szkole, aby niedługo czekać nim będą rodzić, a ot tam założyłem szkółkę drzewek. Jak to wszystko robić, radziłem się tej książeczki, a teraz już tak się nauczyłem, że tylko czasem do niej zaglądam. Różne takie pożyteczne książeczki wydaje »Komitet wydawnictwo dziecięce ludowe« we Lwowie« skąd książeczki sprowadzam. A są one tanie, bo co miesiąc wychodzi najmniej jedna, i kosztują wszystkie razem tylko 1 złr. w. a. —

W księgarni u pana E. Feitzingera w Cieszynie, także są tanie książeczki. O musimy i my je sprowadzać, aby nam nasi chłopcy co niedzielę czytali.

— Pewnie że tak zrobimy, potakiwali inni.

— I bardzo dobrze zrobicie, a ja wam po nie napiszę i odeszłę pieniądze, przekazem jeżeli je złożycie, mówił Janek Mikicki, ciesząc się że więcej będzie we wsi takich, co będą mieli pożyteczne książeczki i czegoś pożytecznego się nauczą.

— Szkoda że nie wziąłem ze sobą pieniędzy mruknął Jan Mazur.

— A to ja dam za was, jeżeli który z was nie ma ich przy sobie, to potem mi oddacie, odezwał się Tomasz Pawąski, wyjmując z trzosa pieniądze i podając je Jankowi.

— Dobrze! dobrze! dziękujemy wam tymczasem, rzekli gospodarze.

— Niechaj pieniądze leżą, zanim je odeszłę, a my tymczasem wróćmy do naszego opowiadania, rzekł Janek Mikicki, zaprosił potem gospodarzy by zasiedli na stołkach pod gruszą cienistą i tak czytał:

Królowie polscy bili tylko wtedy Krzyżaków, gdy na polskie kraje napadali. Szkoda że nie wygnali zupełnie tak złego sąsiada, tylko się bronili, aby coraz więcej ziem polskich nie zabierał. Za panowania Władysława Łokietka, zabrali Polakom Brandenburczycy (także Niemcy) Pomorze z miastem Gdańskiem. Ponieważ Krzyżacy byli obowiązani bronić granic Polski, wezwał ich Łokietek do obrony przeciw Brandenburczykom, bo sam był wtedy w Landowierzu daleko od Pomorza. Krzyżacy wygnali z Pomorza Branden-

burczyków, ale je z miastem Gdańskiem zatrzymali dla siebie, wyrzynając 10 tysięcy Pomorzan. Tak srogo rozpoczęli tam swe rządy. Przemyśliwał też Władysław Łokietek, jakby poskromić tych zdrajców. Pisał on do papieża, aby im papież nakazał oddać Pomorze i Gdańsk. Rzucali też papieżu klątwy na nich, ale tego się nie bali Krzyżacy, bo nie oddali Pomorza. Rządził wtedy na Litwie książę Gedymin. Z nim zawarł tak przyjaźń Władysław Łokietek, że prosił go, aby wydał swoją córkę Aldonę za syna Łokietkowego Kaźmierza. Było to w roku 1315 w stołecznem mieście Litwy Wilnie. Gedymin wydając córkę za Kaźmierza, uwolnił 20 tysięcy Polaków z niewoli, których trzymał od poprzednich wojen z Polakami, wypuścił też również i Władysław Łokietek nawzajem sporo Litwinom. Gdy się przez tę przyjaźń wzmocnił i ubezpieczył Władysław, zebrał znaczne wojsko złożone z Litwinów i Polaków przeciw Krzyżakom. Dnia 27 września roku 1331 rozłożył się z tem wojskiem na wielkiej równinie pod wsią Płowcami. Oboz krzyżacki zakrywała wielka mgła. Na rozkaz królewski, trąby i kotły dały znak do bitwy. Uderzył król na Krzyżaków. Zwarły się szeregi obu wojsk nieprzyjacielskich. Powstał ogromny zgiełk, zamieszanie i trwoga. Bronili się Krzyżacy zacięcie, ale Polacy i Litwini dzielnie na nich nacierali. Zacięta bitwa trwała od rana do późnej nocy. Polacy i Litwini zwyciężyli. Poległo tam 20 tysięcy Krzyżaków. Tak zgniótł Władysław Łokietek potęgę Krzyżaków i upokorzył ich, ale ich jeszcze nie zupełnie pokonał, bo niezadługo w roku 1333 umarł ten dzielny król polski i spoczywa w grobach królewskich na zamku w Krakowie.

Następca Władysława Łokietka jego syn Kaźmierz Wielki, zawarł pokój z Krzyżakami. Wzmogli oni się bardzo w czasie długiego pokoju przemysłiwali ciągle, jakby na przyszłość dokuczyć Polakom. —

Za panowania zaś Władysława Jagiełły, który był wielkim księciem litewskim, jako poganin się ochrzcił i ożenił się z Jadwigą królową polską, został przez to także królem polskim, zaprowadził wraz z Jadwigą wiarę chrześcijańską na Litwie, złączył niejako Polskę z Litwą, — podniecali Krzyżacy ciągle Litwinów i innych książąt na Polaków, bo już nie byli potrzebni, aby nawracać Litwinów na wiarę chrześcijańską, to też chociaż w takiej kłotni i niezgodzie chcieli coś dla siebie uzyskać. —

Władysław Jagiełło zrobił namiestnikiem na Litwie brata swego Skirgiełłę. Skirgiełło zaś był zawzięty na stryjecznego brata swego i Jagiełły, Witolda. Witold bał się, by go Skirgiełło nie kazał zabić, uciekł do Krzyżaków. Krzyżacy aby mieli sposobność napaść na Litwę, podmówili Witolda, aby ich poprowadził na Litwinów. Dwa razy tak napadał z Krzyżakami na Litwę, którzy robili tam straszne spustoszenia. Palili wsie i miasta, rabowali a ludzi uprowadzali do niewoli. Witold chciał rządzić Litwą, dlatego też tak z Krzyżakami na nią napadał, aby się w ten sposób dobić władzy. Spostrzegł też i Jagiełło, że brat jego Skirgiełło i inni są okrutnicy, więc pogodził się z Witoldem. Za to też Witold obrócił się na Krzyżaków i pobił ich. Oddał mu też Jagiełło rządy Litwy, bo był dzielnym rycerzem i dobrze rządził. Zgoda Jagiełły z Witoldem nie podobała się Krzyżakom. Podniecali oni też znowu drugiego

brata Jagielly Swidrygiellę do rozruchów. Z wiele tego już było Jagielle a to tem bardziej, że gdy był na Litwie ogromny głód z powodu nieurodzajów, posłał Jakiello Wisłą zboże dla Litwinów. Z Wisły miały wypłynąć statki na morze Bałtyckie i dostać się w ten sposób prędzej do brzegów litewskich niż wozami, bo kolei w tedy jeszcze nie było. Ponieważ Krzyżacy mieli dużo zboża w szpiechlerzach i ogromne pieniądze za nie brali od Litwinów, nie puścili tych statków polskich ze zbożem, gdy przepływały Wisłę przez ziemie pruskie i zabrali je dla siebie. Niech giną z głodu Litwini, powiedzieli, więcej będzie kraju dla nas: Jagiello posłał do nich posłów by zboże oddali, ale to na próżno, gdyż ani wspominać sobie o tem nie dali, a tymczasem na Litwie tysiące ludu cierpiało głód. Aby uniknąć śmierci głodowej, żywiono się korzonkami, dawano mieloną korę z drzew do mąki, krajano różne rośliny i mieszano z plewami. Puchli też ludzie z niezdrowego pożywienia i umierali, a wszystko to z winy najeźdźców Krzyżaków. — Zebrał też Jagiello ogromne wojsko, złożone z Polaków, Litwinów, Rusinów, Czechów a nawet i Tatarów, Stanał z tem wojskiem obozem pod wsią Grunwaldem dnia 15 Lipca roku 1410, wziął do rąk chorągiew polską z białym orłem w koronie i modlił się głośno prosząc Boga, by w tej bitwie raczył okazać swą sprawiedliwość, mówiąc głośno: »ale, zem pewny, jako przy naszej stronie słuszność, tedy <sup>1</sup>podnoszę tę chorągiew w imię Twoje przenajświętsze! — zapłakało całe wojsko i śpiewało pieśń św. Wojciecha:

»Boga Rodzica dziewica, Bogiem wsławiona Marya!  
U Twego Syna hospodyna (Pana) — Matko zwolona  
(wybrana)

Marya! z iści nam, spuści nam (ześlij nam spuść nam) —

Kyrie elejzon (zmiłowanie, miłosierdzie) Twego Syna Chrzciela zbożny (szczęśliwy) czas. Usłysz głosy, napelnij myśli człowiecze. Słysz modlitwę, jeszcze (tych którzy) Cię prosimy.

To dać raczy jegóż (ten którego) prosimy. Daj na świecie zbożny pobyt, Po żywocie rajski przebyt — Kyrie elejzon.

Narodził się dla nas Syn Boży, W to wierzaj człowiecze zbożny, Iż przez trud Bóg swój lud — Odjął djabłu z straży. Przydał nam zdrowia wiecznego. Starostę skował piekielnego.

Śmierć podjął wspomnionał (wspomniął) — Człowieka pierwszego. Jenże (który) trudy cierpiał bezmierne, Jeszcze był nie przyśpiał za wierne, Aże sam Bóg zmartwychwstał.

Adamie, ty Boży kmieciu, Ty siedzisz u Boga w wiem (na radzie, w sejmie) Domieść nas swe dzieci, gdzie królują Anieli, Tam radość tam miłość, tam widzenie Twórcza Anielskie bez końca:

Tu się nam zjawiło djable potępienie Ni srebrem, ni złotem nas z piekła odkupił. Swą mocą zastąpił. Dla ciebie człowiecze, dał Bóg przekłóć sobie Bok, ręce, nodze obie, Krew święta szła z boku na zbawienie tobie.

Wierżże w to człowiecze, Iż Jezu Chryst prawy, Cierpiał za nas rany, Swą świętą krew przelał za nas Chrześciany, O duszy, o grzesznej sam Bóg pieczę ima, Djabłu ją odejma, gdzie to sam króluje. Tam ją k'sobie przyjmuje.

Już nam czas, godzina, grzechów się kajaci (żałować, pokutować) — Bogu chwałę daci, Z wszemi siłami Boga miłowaci.

Marya, dziewica, prosi (proś) Syna swego Króla niebieskiego, Aby nas uchował ode wszego złego.

Wszyscy Święci proście, Nas grzesznych wspomóżcie. Byśmy z wami przebyli. Jezu Chryste chwalili.

Tegoż nas domieści Jezu Chryste miły. Byśmy z Tobą byli Gdzie się nam radują już niebieskie siły. Amen, (niech się stanie) amen, amen, Amen, amen, amen, Amen, tak Bóg daj, Byśmy poszli wszyscy w raj, Gdzie królują Anieli. — « Tę pieśń ułożył święty Wojciech, za czasów Bolesława chrobrego, króla polskiego, a śpiewało ją zawdy polskie wojsko, gdy szło do bitwy. — I teraz po odśpiewaniu tej pieśni, odprawiono mszę świętą. Modliło się całe wojsko a z niem i król gorąco. Wsiadł potem król Jagiello na cisawego konia, objeżdżał nieprzejrzane szeregi wojska, zachęcał i upominał je, by się mężnie z nieprzyjacielem potykało. Nadeszło wtenczas dwóch posłów do króla od mistrza krzyżackiego z dwoma mieczami i tak mówili: »Wielki królu! mistrz nasz przysyła ci te miecze; tobie jeden, Witoldowi drugi, abyście się mieli czem bronić.« — Na to król rzecze pokornie: »przyjmujemy te miecze, może się na was przydadzą.« — Krzyżacy tak byli dumni i pewni zwycięstwa że w ten sposób urągali królowi. Aby zaś męczyć potem polskie wojsko, mieli w obozie ze sobą przeróżne do tego narzędzia. Wysłuchał też Pan Bóg modlitw wojsk polskich i króla. Ukazać się miał nawet w powietrzu św. Stanisław i dawać Polakom znaki, że zwyciężą nieprzyjaciół. Dumę zaś Niemców — Krzyżaków, srodze Bóg ukarał. — Padły obydwa wojska na siebie i jak fale morskie zlały się

w śmiertelnych objęciach. Szczękanie mieczy, łamanie kopij, wielki chrzęst zbroi, krzyki i jęki słyhać było. To wrzała zacięta walka. Długo czas chwiała się zwycięstwo, aż wreszcie zwyciężyli Polacy. Poległ w bitwie sam wielki mistrz krzyżacki Ulryk Jungingen i 40 tysięcy Krzyżaków. Samych chorągwi krzyżackich zdobyli Polacy 51. Zdobył też król jeszcze kilka zamków pruskich, nareszcie zawarł pokój w Toruniu, wrócił do Krakowa i kazał odprawić solenne nabożeństwo na zamku w kościele, na podziękowanie Bogu za świetne zwycięstwo i zawiesił tam zdobyte chorągwie. Osłabli i zbezwładnieli na długo teraz Krzyżacy, odetchnęli za to mieszczenie i rolnicy przez nich w Prusach uciskani, bo Krzyżacy jako panowie pruscy pozwolili im redzić o sprawach krajowych. Oddali też Krzyżacy na zawsze Polakom ziemię Dobrzyńską a Litwinon ustąpili Zmujdź.

Gdy zeszli się gospodarze, jak zwykle w niedzielę po nieszpórach u Janka Mikickiego na pogadankę, tak i im znowu Janek czytał:

Krzyżacy za panowania następnych królów polskich a synów Władysława Jagiełły jak, Władysława Warneńczyka i Kazimierza IV. Jagiełłończyka, nibyto spokojnie już siedzieli w swoich krajach, ale po swojemu gospodarowali. Budowali miasta i zamki i osadzali je Niemcami, zaprowadzali wszędzie obyczaje niemieckie a krajowców (Prusaków, i Litwinów tam zamieszkałych) bardzo uciskali, wydzielali im majątki i rozdawali Niemcom, porywali im nawet żony i córki, a gdy nieszczęśliwi mieszkańcy udali się na skargę na nich do cesarza niemieckiego, kazał cesarz 300 obywatelom głowy pościnać. Taką to sprawiedliwość wyrządził cesarz tym nieszczęśliwym, bo jako Niemiec,

trzymał za Krzyżakami — Niemcami. Sprzykrzył się ten srogi ucisk krzyżacki dręczonemu narodowi. Utworzył też uciśniony naród pomiędzy sobą związek, aby się wybić na wolność, a że sam czuł się za słaby, posłał posłów do króla polskiego Kaźmierza czwartego Jagiellończyka, aby go wziął w swoją opiekę i kraj ich do Polski przyłączył. Król i panowie polscy usłyszawszy tak wielki ucisk pobratymczego narodu, postanowili wziąć uciśnionych w opiekę i obronę. Udał się też król do ziemi pruskiej i na Pomorze do miast Torunia i Elbląga, gdzie go witano jako zbawcę, i wydał Krzyżakom wojnę. Ta wojna trwała 14 lat, a to dlatego tak długo, bo gdy pobito Krzyżaków to zaraz wracały polskie wojska do domu na zimę, a później znowu powoli się zbierały gdy nastało ciepło. A takich gnębicieli Krzyżaków trzeba było bić co się da a nie dać wypoczynku, a po zupełnem pokonaniu i zniszczeniu nieprzyjaciela wracać do domu. Zawarł nareszcie król pokój z nimi w Toruniu w roku 1466 tak, że odtąd do Polski na zawsze zostały przyłączone Prusy królewskie, a wschodnią część Prus z miastem Królewcem zostawiono Krzyżakom z obowiązkiem podległości królem polskim. Na znak takiej podległości, każdy mistrz krzyżacki musiał kładać hołd i przysięgę królowi polskiemu na wierność i podległość. Nie zawsze jednak wielcy mistrze krzyżacy wykonywali tę przysięgę, Wykręcił się od takiej przysięgi i hołdu wielki mistrz krzyżacki za króla polskiego Aleksandra. Za króla zaś Zygmunta I. a brata Aleksandra również wzbraniał się wielki mistrz krzyżacki Albert siostrzeniec króla od złożenia hołdu, a nadto wpadł jeszcze do polskiego kraju do Zmudzi i dużo tam

złego nabroił i zbroił się na dobre, aby Pomorze z Gdańskiem na powrót od Polski oderwać. Król Zygmunt I posłał dzielne wojsko pod dowództwem hetmana Firleja przeciwko wiarołomnemu siostrzeńcowi. Polskie wojska zwyciężyły, a wielki mistrz Albert widząc, że straciłby i te kraje które posiadał, prosił króla, by mu pozwolił się przeprosić w Toruniu. Król zezwolił na to. Przeprosił go Albert w roku 1520, ale kiedy się dowiedział, że przypłynęło morzem dla niego z pomocą 4 tysiące wojska, umknął cichaczem z Torunia i na nowo zaczął wojnę. Pobity, udał się znowu w prośby do króla Zygmunta i zawarł pokój. Zanadto dobry był król Zygmunt i pobłażający, kiedy zdrajcy znowu przebaczył, zamiast zniszczyć nieprzyjaciela. co co moment czyhał zdradliwie na zgubę naszej ojczyzny. Ten sam wielki mistrz krzyżacki Albert łamie potem śluby zakonne, zrzuca z siebie biały płaszcz krzyżacki z czarnym krzyżem a z nim cały zakon, zamienia tytuł wielkiego mistrza krzyżackiego na świecki tytuł książęcy, porzuca wiarę swych poprzedników której miał na czele wojska swego bronić, rozszerzać i pogan do niej nawracać, staje się Lutrem i żeni się. Trzeba wam wiedzieć, że Marcin Luter był ksiądz zakonnik, uczony. Ogłosił on w roku 1517 dziewięćdziesiąt pięć zdań o odpuszczeniu i wolności kościoła, aby przez to pobudzić innych uczonych do rozpraw nad temi zdaniem. Niektóre zdania Lutra były dobre, inne zaś, ot jak to zwyczajnie dzieło rozumu ludzkiego jest nie zawsze każde doskonałe, sprzeciwiały się nauce kościoła chrześcijańsko-katolickiego. więc potępił je papież czyli ówczesny ojciec święty. Jak to zwykle nieraz ludzie przez spór rozgorączkują się, przez opór, fałszywą dumę i pychę

usiłują pokazać na swoim, chociaż wiedzą po-  
niekąd że błędzą, tak zrobił i Luter. Przez upór  
tylko nie chciał fałszywej nauki odwołać, lecz  
przeciwnie wszędzie ją ogłaszał i nauczał. Nauka  
jego znalazła wielu zwolenników i stała się po-  
wodem ogromnych wojen religijnych w Niemczech.  
Ci którzy tę naukę przyjęli nazywają się Lutrami  
lub Protestantami. Inni przyjęli naukę Lutra z ma-  
Jemi zmianami, której nauczał Kalwin we Francyi,  
i ci dlatego zwią się Kalwinami. Taką to wiarę  
Lutra przyjęła większa część Niemców, przyjął  
ją i Albert i przez to stał się Lutrem, i ogłosił  
się księciem pruskim, a Zygmunt I wszystko mu  
przebaczył i pozwolił na utworzenie księstwa pru-  
skiego. Tak to z jednego klasztoru w ziemi  
Chetmińskiej, wzmogli się Krzyżacy, przebiegłością,  
chytrością i grabieżą, że założyli księstwo a ich  
wielki mistrz, został księciem panującym. Ten  
książe Albert i jego następcy mieli obowiązek  
składania hołdu królom polskim. Taki hołd i przy-  
sięgę na wierność i Poddaństwo złożył Zygmuntowi  
I. i narodowi polskiemu książe Albert w Krakowie  
na rynku w roku 1525. i to się nazywa hołdem  
pruskim. Obraz tego hołdu pruskiego wymalował  
niedawno Polak i bardzo sławny malarz Jan  
Matejko. Wielki to był błąd Zygmunta I. że  
pozwolił siostrzeńcowi na założenie księstwa pru-  
skiego. A jakże się to nam odwdzięczają potom-  
kowie i następcy tych dawnych mnichów Krzy-  
żaków dzisiaj! — Przyczynili się do rozdarcia  
naszej matki ojczyzny i znęcają się teraz nad jej  
dziećmi! — Księstwo pruskie trwało 132 lat, bo  
do roku 1657. —

Za panowania króla polskiego Jana Kaźmierza  
przyszło do wojny ze Szwedami, dlatego, że Jan

Każmierz nie chciał się zrzec tytułu króla szwedzkiego, a miał on do tego prawo, bo ojciec jego Zygmunt III. Waza, który także był królem polskim, był królewiczem szwedzkim a synem króla szwedzkiego Jana i Katarzyny Jagiellonki córki Zygmunta I. zatem należał mu się tron szwedzki po ojcu. Król szwedzki Gustaw Karol wpadł z wojskiem do Polski a oprócz tego wciągnął on do przystawienia ze sobą księcia pruskiego a elektera Brandenburgskiego Fryderyka Wilhelma i Jerzego Rakocznego księcia siedmiogrodzkiego. Szwedzi opanowali całą Polskę. Książę Rakoczy pustoszył też Polskę. Ponieważ nie zaspokojono w Polsce słusznym żądań Kozaków, poddali oni się Moskwie stąd też wybuchnęła wojna równocześnie i z Moskalami a i Kozacy pod dowództwem Chmielnickiego napadli na Polskę. Pięciu więc nieprzyjaciół naraz napadło na Polskę. Najbardziej plądrowali po kraju Szwedzi. Król Jan Kaźmierz uszedł wtedy do Opolu na Szląsku. — Kiedy biedna nasza ojczyzna zewsząd uciśniona, zadaje Szwedom w Częstochowie ksiądz Auyustyn Kordecki klęskę na czele garstki walecznej szlachty polskiej przy cudownej pomocy Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej. Gdy się o tem naród dowiedział, szedł prędzej na Szwedów, aż ich wreszcie z kraju wygnano. Król zawiera rozejm (ugodę) z Moskalami, i pokój ze Szwedami, w którym zrzeka się tytułu króla szwedzkiego, wraca do kraju i we Lwowie oddaje siebie i naród uroczysto opiece N. M. Pannie i ogłasza ją królową Polski. — Z księciem pruskim Fryderykiem Wilhelmem Wielkim zawiera pokój welawski w roku 1657. w którym uwalnia księcia od składania hołdu królom polskim i od poddaństwa. Odtąd staje się księstwo pruskie

niezawisłe. Syn zaś Fryderyka Wilhelma róż-  
 Fryderyk III. otrzymuje pozwolenie od ce-  
 Leopolda I. koronowania się na kró-  
 co wykonał dnia 18 stycznia 1701  
 id pisał się: król pruski Fryderyk I.  
 — Dawna więc dzielnica Polski Prusy opanowana  
 przez Krzyżaków, stała się królestwem pruskim  
 i dotąd istnieje królestwo pruskie, powiększone  
 polską ziemią przy rozbiórce Polski, jak to  
 już na początku wspominaliśmy. Dzisiaj król  
 pruski Wilhelm jest także cesarzem zjednoczonych  
 Niemiec.

Przeczytałem wam krótko historią o Krzy-  
 żakach i powstaniu królestwa pruskiego, rzekł  
 Jan Mikicki. Wiecie z tego, że ja i moi towarzysze  
 postępowali sobie z właściwymi Prusakami  
 i dzisiaj następcy i potomkowie Krzyżaków  
 chodzą się z braćmi naszymi Polakami w księ-  
 Poznańskim. Cóż więc mamy w obec tego czy-  
 nić? — Spieszyć im z powołą przynajmniej tak,  
 jak to zrobił nasz pan dziedzic z kowalem. Po-  
 winniśmy przede wszystkim gorliwie wypełniać  
 obowiązki nasze, oświecać się sami i dzieci nasze  
 uczyć by poznały dzieje (historię) przodków na-  
 szych, przywiecać im przykładem w gorliwej a su-  
 miennej pracy, żyć w zgodzie pomiędzy sobą,  
 bośmy wszyscy, czy to pan, ksiądz, urzędnik, na-  
 uczyciel, czy chłop lub rzemieślnik mieszczanin,  
 dzieci jednej polskiej ziemi, wszyscy stanowimy  
 jeden polski naród, wszyscyśmy Polakami. Oprócz  
 wzajemnej miłości i zgody, niech każdy w swoim  
 stanie, stara się jak najwięcej umieć i wiedzieć,  
 niech się nie uchyla od obowiązków i uczciwej  
 pracy a oszczędności — wtedy z pewnością  
 wszystkim nam dobrze będzie, stanie się i kraj

pogatszy, a kto wie, czy też Bóg wszech-  
 nie każe zabłysnąć gwiazdce lepszej na-  
 łości, boć wszystko w jego ręku. *Simone*  
 czył Jan Mikicki mówiąc z gospo-  
 co mówił, stwierdzał to swoimi czynami  
 on się dopiero w tygodniu z córką Tomasza  
 kiego, pocziwą i dobrą dziewczyną. Będąc  
 erem pokazał już, że jest dobrym gospo-  
 n, dobrym synem a i o nauce nie zapominał,  
 ż się czegoś więcej dorobił. Będzie on też  
 wodnie i nadal takim, tãm bardziej, jako  
 naty gospodarz. Tomasz Pawąski zaś cieszy  
 : znalazł tak dobrego i rozsãdnego zięcia,  
 co niedzielę do swych dzieci na pogã-  
 ę będzie z sąsiadami chodził.



**Tom 34. i 35. Biblioteki tanich książeczek dla ludu  
 izeży: Nasze góry, czyli malownicze opisanie Karpat  
 oraz ich mieszkańców. Skreślił Aleksander Borucki.  
 l. Karpaty, 35. Tatry. Cena każdego 20 ct.**

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000445139



I 212200